ROK WYDAWNICTWA SZÓSTY

Cena 40 gr.

LWÓW, HAUKE BOSAKA 12

1 stycznia 1939 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE 60 NUMER PISMA

Sygnały

dwutygodnik · sprawy społeczne · literatura · sztuka·

PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI

ZAGŁADA KONFLIKTU

Nie wiem czy już zwrócono należytą uwagę na prosty fakt, że w miarę jak w życiu gromadziło się coraz więcej konfliktów społecznych, politycznych, moralnych, religijnych, coraz jawniej znikały one z literatury. Dzisiejsza zbrodnia rozpanoszona po całym świecie, nie ma ani jednego Dostojewskiego, dzisiejszej wzmagającej się amoralności brak Tołstoja, niema Zoli, któryby oskarżał dziką przemoc jednych nad drugimi, powymierali ostatni epigoni Ibsenów i Björnsonów, i płynne, przelewne, gorące życie zastyga w krysztale formy.

Forma staje się wszystkiem, treść — niczem. Jeszcze wczoraj, rzekłbyś przed chwilą, człowiek nie mógł się mylić, nie mógł pobłądzić aż tak, aby z pobłądzenia nie było wyjścia. Gdy chwiały się pokolei wszystkie wartości społeczne, polityczne, moralne i religijne, gdy tak wiele rzeczy, nietylko w polityce, stawało się świstkami papieru, we wszystkich sumieniach świata, we wszystkich religjach i moralnościach, choćby się między sobą nie wiem jak różniły, istniała wartość niewzruszona i nietknięta: wartość życia ludzkiego. W pokutnych psalmach starożytnej Babilonji, w hieratycznych tekstach starego Egiptu, w misterjach eleuzyjskich, w tekstach Ewangelji chodzi zawsze tylko o życie ludzkie, o tę wartość nad wartościami.

Cała ewangelja i całe chrześcijaństwo zawarte jest w jednym wersecie ewangelji Jana, że „tak Bóg umiłował świat, iż Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto w niego wierzy, nie zaginął, ale miał żywot wieczny". Dzieje się dziś dużo w imię Boga. Jego imieniem rozpoczyna się ustawy przeznaczone dla miljonowych rzesz, Bogiem legitymuje się siła, zagrażająca całemu światu, Boga odkrywa dzisiejsza biologja polityczna nawet we krwi. Ale czy ktoś pamięta, że Bóg głoszony przez Jezusa Chrystusa, jest przedstawicielem najwyższego kultu życia? Pytał Chrystus: „Cóż pomoże człowiekowi, choćby cały świat zdobył, a życie stracił, albo na życiu szkodę poniósł?"

Na to pytanie ludzkość odpowiadała w ciągu tysięcy lat, że życie jest i będzie wartością najwyższą. Mogą zginąć Babilonje i Asyrje, mogą popaść w zapomnienie starożytne Egipty, może się w gruzy rozsypać potężny Rzym, dopóki żyje człowiek, przeniknięty poczuciem świętości tego życia, mogą powstawać coraz cudowniejsze światy, coraz głębsza mądrość, coraz dostojniejsza dobroć. Lecz oto w tę zgodę wszystkich narodów, w ten consensus tysięcy miljonów istnień ludzkich pada zgrzyt przeczenia. Życie staje się niczem, forma wszystkiem. Dnia 10 sierpnia 1923 r. na zjeździe narodowo-socjalistycznym w Norymberdze, mówca imieniem Dolle wywodził: „Aby zniweczyć chrześcijaństwo, które zatruło ducha niemieckiego i aby zastąpić je bogami germańskimi, trzeba stoczyć straszliwe walki. Z 70 miljonów Germanów pozostanie ich tylko 7 miljonów, ale oni staną się panami świata". Ta pogarda dla życia nie zrodziła się wtedy dopiero. Istniała ona w germaństwie już dawno.Jeden z najwybitniejszych teologów niemieckich powiedział bardzo trafnie, że Germanie ulegli wprawdzie chrystjanizacji, ale że chrześcijaństwo zgermanizowali. Kult życia proklamowany przez Chrystusa, cześć dla istnienia, zostaje zgermanizowana.

Pokolenie, które starzeje się w chwili obecnej, rozczytywało się z rozkoszą w powieści pastora fryzyjskiego, Gustawa Frenssena, „Jörn Uhl". Ten sam pastor pisywał następnie piękne książki o błogosławieństwie pokoju, o cudzie życia ludzkiego, o szczęściu wolności.Stało się jednak, że ten sam Gustaw Frenssen sięgnął po pióro i napisał: „Oto w dniach naszych pojawia się w Niemczech rodzaj nowej religji — tak jest, rodzaj nowej wiary w Boga i nowej pobożności, — a niesie ją pewien płonący człowiek, podnosi ją do wyżyn siły i potęgi, w przeciągu piętnastu lat zdobywa dla niej więcej niż trzy czwarte tego wielkiego narodu, a doszedłszy do władzy, stwarza przy pomocy tej nowej pobożności... w ciągu czterech lat więcej, niż kościół katolicki i jego wiara stworzyć zdołały w ciągu czternastu wieków a kościół ewangelicki w ciągu czterech wieków. I gdy to przed oczyma naszemi staje i stoi, masa ludzka czuje coraz wyraźniej, że ów niewypowiedziany cud świata, owo olbrzymie zdarzenie twórcze Betleemu i Golgoty, nie jest prawdą, i odwraca się od wiary chrześcijańskiej". Do tych słów nic dodać nie trzeba: jest to wyrzeczenie się najwyższego ideału ludzkiego na rzecz czegoś, co jest tego ideału zaprzeczeniem najbrutalniejszem.

Ale ponieważ mogłyby się ozwać ostre głosy przeciwko poniżaniu tego, co pomimo wszystko jest dla całej ludzkości sprawą najwyższą i wartością nad wszystkiemi wartościami, przeto odbiera się życiu wolny głos. Jeden z największych zatargów świata, zdarzenie, które powinnoby pociągnąć za sobą jedną z najpiękniejszych i najpłodniejszych dyskusyj, stało się objawem połowicznego porażenia duszy zbiorowej. Mówić mogą tylko jedni i tylko o jednem; odpowiadać im polemicznie nie można. O niektórych rzeczach nikomu wogóle pisać ani mówić nie wolno, a kto się wyłamuje z tego zakazu, bywa tak nieludzko katowany, że rezygnuje z nierównej walki i milczy. Nieraz na obrazkach propagacyjnych pana ministra propagandy, Goebbelsa, podziwiamy olbrzymie masy ludu podnoszące ręce do góry i wiwatujące na cześć „führera". I niejeden myśli: a więc jednak! Więc to nie jest przeciwko woli ludu niemieckiego, ale jest to jawny wyraz jego woli?

Dość jednak rozejrzeć się po publikacjach niemieckich Trzeciej Rzeszy, aby się dowiedzieć, że tam wszystko jest nakazane, nawet radość w dniu pierwszego maja, czyli w dniu święta robotniczego. I nietylko nakazane, lecz obstawione takiemi sankcjami karnemi, że kto nie chce stracić kawałka chleba i dostać się w ręce straszliwej Gestapo, musi czynić co każą. Wiemy, że wyborów wolnych w Rzeszy niema, że poddany narodowo-socjalistyczny musi głosować, czy mu się to podoba, czy nie podoba, zaś władcy jego umieją dopilnować, aby głosujący głosował w myśl rozkazów i nakazów. Tych, co nie głosują z takich czy innych powodów, umieją szturmówki dostać w swoje ręce i tak skatować, że to przechodzi pojęcia normalnie czującego człowieka. Wybija się w domach takich odważnych ludzi okna, bije się ich mieszkańców do krwi, niszczy się mienie.

Nie na tem jednak koniec. Inna rzecz tak zwany „odruch" oburzenia janczarskiego, inna rzecz sąd. Istnieje w Niemczech kilka tysięcy członków sekty ewangelickiej, t. zw. „Badaczy Pisma św". Nawet sądy niemieckie, skazujące tych ludzi za ich wiarę na lata więzienia, wypowiadają się przygodnie, że są to najzacniejsi, najlojalniejsi ludzie, prawdomówni, czyści, pracowici, trzeźwi. Lecz oto czytamy w dzienniku „Heidelberger Tageblatt" (27 marca 1934 r.): „Zwolnienie z pracy spowodu nieuczestniczenia w uroczystości majowej. Zapadła znamienna decyzja sądowa, którą podaje do wiadomości powszechnej Front Pracy. Wynika z niej, że istnieje możność wydalenia z pracy robotnika, gdy ten uchyla się od uczestniczenia w obchodzie 1 maja. W danym wypadku wymówiono pracę członkom Stowarzyszenia Badaczy Pisma Św., którzy nie usłuchali wezwania do stawienia się na doroczne uroczystości 1 maja". Ludzie pozbawieni pracy w taki osobliwy sposób, odwołali się do sądu, a „sąd pracy odrzucił ich skargę i zatwierdził zwolnienie z pracy. W motywach wyroku powiedziano, że zwolnieni przez uchylanie się od udziału w uroczystościach 1 maja dopuścili się ciężkiego naruszenia kontraktowego obowiązku posłuszeństwa wobec kierownika zakładu, który wyraźnie wezwał załogę do stawienia się na obchód 1 maja". Takich wyroków i orzeczeń sądów niemieckich możnaby przytoczyć bardzo dużo. Radość pierwszomajowa jest nakazana. Kto się nie raduje według nakazu, zostaje wyrzucony z pracy. I zauważmy co za wspaniała kontrola! Jak dobrze wiadomo kto był, a kto nie był.

Jakie tragiczne konflikty społeczne tkwią w tej dziedzinie życia, można się tylko domyślać, bo cały ten obszar życia skazany jest na niemotę. Niedawno temu „Krakowski Kurjer Poranny" zacytował pewne pismo nowojorskie, podające wywiad z b. cesarzem niemieckim, Wilhelmem II. Cesarz powiedział m. i.: „Przez czas jakiś byłem skłonny mniemać, że narodowy socjalizm jest nieuniknioną gorączką, lecz oto kierownik tego ruchu pozbył się najmądrzejszych i najwybitniejszych Niemców, Papena, Schleichera, Neuratha, a nawet Blomberga. Zostało obecnie tylko kilku w brunatnych koszulach. Z narodu poetów, artystów i żołnierzy zrobiono naród histeryków i pustelników, prowadzonych przez kłamców i fanatyków. Wódz tego ruchu jest niewątpliwie szczery, ale nie może być ludzki. Jest on samotnikiem bez rodziny i bez Boga. Tworzy janczarów, ale nie naród. Naród powstaje tylko na podstawie rodziny. Człowiek, który utożsamia się dziś z państwem, nie czci Boga, nie może założyć dynastji i nie zasięga rad historji". Te słowa mogą zostać zdezawuowane, jak to się w wypadkach podobnych zawsze dzieje, ale nie przestaną one odpowiadać rzeczywistości niemieckiej. Gdzie jest allahistyczna monoidea, wykluczająca każdą myśl krytyczną, tam musi być janczaryzm. Tak było zawsze i tak będzie zawsze. Nie gdzieindziej, ale właśnie w Niemczech powtarzano przy każdej sposobności piękny dystych: „Nie trzeba się obawiać wolnej ludzkiej duszy, lecz drżyj przed niewolnikiem, gdy swe pęta kruszy".

Możnaby się nie przejmować tem, co się dzieje w Niemczech, ale, niestety, stamtąd idzie ta ostatnia postać „mądrości" politycznej, społecznej i religijno-moralnej na cały świat i wszędzie znajduje wyznawców. Teoretycznie nazywa się to kasowaniem społeczeństwa dyskutującego. Nie wolno dyskutować, wolno tylko słuchać. Niema już żadnych wartości cennych, jeśli nie dają się wtłoczyć w ramki programu partyjnego. Ludzkość wyrosła na dyskusji, na dostrzeganiu, ujawnianiu i rozwiązywaniu konfliktów, na stopniowem usuwaniu nienawiści i nietolerancji. Teraz nie wolno dostrzegać konfliktów istniejących, a jeśli już się je dostrzega, trzeba milczeć. Nawet krytyk literacki nie może dyskutować z autorem, bo każda postać krytycyzmu jest groźna dla monoidei i monologisty.

Rozejrzmy się po świecie ducha. Jeśli człowiek był coś wart, to tylko wtedy, gdy był świadom swego podobieństwa z Bogiem. Tam gdzie zamykano go w stadzie, kończyło się jego dostojeństwo. Chrystus przybijany do krzyża jest o tyle wyższy i potężniejszy od człowieka, który przygważdża jego ręce i nogi do narzędzia straszliwej męki. Jak wyglądał sługa „sprawiedliwości", który podawał truciznę Sokratesowi? Jak było na imię pachołkowi kata, który podpalał stos Jana Husa albo Giordana Bruna? A jednak o ileż „więksi" byli tamci pachołkowie od ludzi przywiązanych do słupów kaźni! W ich ręku gorzały pochodnie, które podpalały stosy, w ich mocy było splunąć na skazańca, spoliczkować go.

Aby zmierzyć odległość między konfliktem literatury niemieckiej a likwidacją konfliktu, trzeba przypomnieć sobie choćby „Prometeusza" Goethego, to wielkie wyznanie wiary ducha wolnego i śmiałego, zmierzyć z nim „Horst Wessel-Lied". Wtedy widać jasno co się stało i co się dzieje. Niema już buntowniczych Schillerów, wolnych Hoelderlinów, ironicznych Heinów. Niema w Niemczech i nietylko w Niemczech, pisarza, który pokazałby nam skopanego człowieka, sponiewieranego ducha, tę całą nędzę straszliwą, w której ginie każda twórcza myśl, w której zanika każde drgnienie ludzkiego uczucia. Książce niemieckiej, która jako motto miewała dumne słowo „Männerstolz vor Königsthronen" (Duma męska przed królewskim tronem), wolno jeszcze tylko sławić i chwalić to coś ponurego, co istnieje jako marna postać jednej z miljarda różnych możliwości.

W listopadowym numerze „Nouvelle Revue Française" poświęconym rozpamiętywaniu strasznego poniżenia Francji jest **„Prière pour les copains après la mobilisation de septembre 1938"**, a w tej modlitwie, która zwraca się nietyle do Boga ile do człowieka, są słowa godne zapamiętania: „Daj, Panie, abyśmy pod nowymi wodzami i z nowymi wychowawcami, a jeśli łaska twa jest jeszcze większa, pod nowymi pisarzami, nie lękali się zaskoczenia przez żadne przeznaczenie, przez żadną śmierć, przez żaden upadek świata". Zauważmy: jeśli łaska Boga jest specjalnie wielka to ma dać modlicielowi z „NRF" nowych pisarzy. Nie skrybów dowcipnych i protokulantów, nie fotografów retuszujących trwożliwie każdą najdrobniejszą zmarszczkę na obliczu społecznem, nie relacjonistów rozwlekłych i tych ściągaczy tępych, którzy niewolniczo kopjują życie, zezując w stronę wszelkich chwalców, nagradzaczy i odznaczycieli, ale pisarzy objawiających „ducha leżącego pod męką ciał", jak powiedział Stefan Żeromski.

Zanik konfliktu w literaturze towarzyszył zanikowi woli mocy tego wszystkiego co było mądre i dostojne. Między mądrością a siłą istnieje dziś otchłań. Siła nie jest mądra, mądrość nie jest silna. Malejąca wielkość konfliktów była początkiem tego straszliwego monoideizmu, który w pędzonem stadzie widzi ideał społeczeństwa ludzkiego. Tu właśnie zaczynało się „glajchszaltowanie", aż wreszcie pozostał literaturze jeden tylko konflikt, a mianowicie konflikt z przepisem policyjnym. Mamy już tylko deskrypcjonizm, relacjonizm zręczny i ostrożny. Odrodzenie konfliktu, powrót świadomego tragizmu i świadomej odpowiedzialności za życie i jego dostojność, same nie odrodzą świata, bo możność odrodzenia tkwi głębiej, niż w przejawach sztuki, ale gdy dostrzeżemy powrót konfliktu w jego najdostojniejszej postaci, będziemy wiedzieli, że już ma się pod koniec konającemu światu, że nadchodzi nowy świat i nowa ludzkość.

W wspomnianym numerze „NRF" jest jeszcze coś, a mianowicie orzeczenie „Szkoły Socjologji", która rozejrzawszy się w splocie zdarzeń wrześniowych i październikowych roku 1938, doszła do wniosku, że mamy do czynienia z niesłychaną „dewirylizacją" mężczyzny. To obce słowo nie znajduje lepszego odpowiednika w naszym języku jak wałachowatość. Józef Piłsudski powiedział kiedyś, że trzeba koniecznie puścić w obieg liczenie się z nagłą i niespodziewaną śmiercią w obronie spraw życia. Tak to rozumieli pierwsi chrześcijanie, którzy za nietykalną wolność duszy oddawali życie. Tylko takie życie jest coś warte, za które warto je oddać. To znaczy: życie może być zdobywane tylko życiem. Niema takiej waluty, która równałaby się życiu. Stchórzyli ludzie, którym literatura odebrała tragiczny konflikt i uczyła eunuchowatego kwietyzmu.

Gdy Duńczycy bali się w swoim czasie o wolność swoją, Kierkegaard powiedział, że miljon ludzi zdecydowanych na wszystko jest siłą niepokonaną. Pisarz ten walczący o prawo człowieka do swego zatargu z losem, ze społeczeństwem, ze skostniałym formalizmem, stał się ojcem pokolenia wielkich skandynawskich pisarzy. Gdy to zrozumiemy, odrodzi się literatura wolnego dostojnego człowieka, literatura Metanoi Chrystusowej, tej przemiany duchów i dusz, która jest źródłem wszelkiej siły i wielkości.

ZYGMUNT JAROSZ

MATERJALIZM ŻYJE JESZCZE*)

II

Kipi w fizyce współczesnej. I ferment ten powinien się okazać na dalszą metę prawdziwie owoconośnym. Obecnie jednak sprawa przedstawia się inaczej. Z fermentu rodzi się chaos. Zacytujmy charakterystyczną krytykę „teologizujących“ fizyków, jaką znajdujemy u Russella:

„Sir Artur Eddington wyprowadza zasady religji na tej podstawie, że atomy nie są posłuszne prawom matematycznym, zaś sir James Jeans wyprowadza te same zasady na tej podstawie, że właśnie tym prawom atomy podlegają“ („Poglądy i widoki nauki współczesnej“, str. 126).

Nie możemy tu analizować wskazanej przez Russella[9]) sprzeczności. Każdy z obu zaatakowanych przezeń uczonych służy teologji, jak umie, to oczywiste. Przypomnimy tylko, że i na polskim gruncie można zaobserwować pewne znamienne rozbieżności i nieporozumienia. Lat temu bodaj już z dziesięć ks. Antoni Jakubisiak, jeden z czołowych filozofów katolickich, starał się wykazać w swym „Kryzysie determinizmu“, że teorja kwantów i inne zdobycze nauki pogrzebały raz na zawsze ściśle przyczynową eksplikację rzeczywistości. Godziło to w materjalizm, dialektyczny zwłaszcza, jako światopogląd zdecydowanie deterministyczny. Ale oto ks. dr. Franciszek Sawicki, także czołowa postać katolickiej myśli filozoficznej, pisze:

„Eddington stwierdza, że fizycy do zasady przyczynowości, która tak długo była aksjomatem nauk przyrodniczych, odnoszą się dziś przynajmniej bardzo sceptycznie. Inni fizycy, jak Planck, **ostrożniej i słuszniej** (podkreślenie moje, Z. J.) twierdzą, że konieczność przyczynowa niezawodnie reguluje i ruchy mikrokosmiczne, ale dla nas jest tam niedostrzegalna“. („Zagadnienie cudu w świetle wiary i wiedzy“, „Wiara i Życie“, nr. 9 z września b. r.).

Mniej, niż ks. Jakubisiakowi dziwić się należy St. Piaseckiemu, który przed kilku laty harcował na łamach „Prosto z Mostu“, wyzyskując swoiście teorję kwantów dla pognębienia determinizmu i materjalizmu. Wówczas to właśnie Max Planck wygłaszał w Berlinie swój odczyt p. t. „Fizyka w walce o światopogląd“, w którym zwalczał indeterministyczną interpretację swej teorji.[10])

Rozbieżności i nieporozumienia! Wszystkie one rodzą się w sferze interpretacyjnej. Marxistowski uczony Friedmann i ksiądz Lemaître wpadają prawie równocześnie i niezależnie od siebie na identyczne rozwiązania t. zw. niestatycznego modelu wszechświata. Ale pierwszy nie przekracza ani na krok granic nauki, drugi zaś doczepia do swych pięknych teoryj astronomicznych własną koncepcję Stworzenia. Badania fizyczne czy astronomiczne nie zawierają same w sobie żadnego teologicznego jądra. Jądro to mieści się w głowach niektórych badaczy. Przyznajemy, że nasze czasy kolosalnych perypetyj wiedzy znakomicie sprzyjają jego rozwojowi. Ogólny stan fizyki wpływa zresztą do pewnego stopnia i na same badania, na poszczególne doświadczenia i teorje. Stan ten zaś charakteryzuje się m. inn. skrajną matematyzacją t. j. formalizacją fizyki. „Materja znika, pozostają same równania“. Objektywna rzeczywistość ginie, subjektywna działalność naszego ducha manifestuje się potężnie. Krok jeszcze, i fizyka zgubi ostatecznie swój przedmiot, stanie się „sztuką dla sztuki“. Lecz, oczywiście, ten krok jest niemożliwy. Oznaczałby on ni mniej ni więcej tylko początek końca naszej cywilizacji.

Spekulacje matematyczne fizyków współczesnych przypominają nieco spekulacje scholastyczne. Są jednak od nich mniej jasne, bardzo często też mnożą, a nie rozpraszają trudności. Ma swoje niebezpieczeństwa ten niewyczerpany rezerwuar teoretyczny, jakim jest matematyka. Zbyt dużo wielokierunkowych możliwości powiększa i ferment i chaos. „W niniejszym rozdziale pomieszam wyniki, które mogą się okazać dla nauki ważne, z rzeczami przedstawiającemi prawdopodobnie tylko ciekawostki matematyczne“ — przyznaje się w pewnem miejscu Eddington („Czy wszechświat się rozszerza?“, str. 91). Tak matematyka pogarsza nieraz stan gorączkowy fizyki współczesnej. Wśród fermentu, wśród nieprzerwanego załamywania się starych pewników, rodzi się tęsknota za Absolutem. Tęsknota defetystyczna. Nie powinno być bowiem rzeczą przyrodnika uciekać od rzeczywistości, choćby napozór nierozwikłanie skomplikowanej. „Navigare necesse est“. Trudzić się jest rzeczą konieczną.

Jakże charakterystyczny w tem świetle wydaje się casus Jeansa. Ekstrapolował on samego siebie w zaświaty. Wyobraził sobie Boga na obraz i podobieństwo swoje. Jako Wielkiego Matematyka. W zgodzie z elementarną tezą marxizmu (Engels: „Der Mensch... dessen Abbild jeder Gott ist“).

Jeans jest wogóle nieoceniony pod bardzo wielu względami. Najkonsekwentniej chyba ze wszystkich głośnych fizyków współczesnych wyznaje on i propaguje idealizm filozoficzny. Idealizm przemyślany do końca t. j. solipsyzm. Żaden przyrodnik nie odważył się jeszcze tak bez żenady nawrócić do Berkeleya, jak to uczynił autor „Nowego świata fizyki“. Wyciągnął on skrajny wniosek z matematyzacji fizyki. Istotę świata stanowi u niego matematyczna kalkulacja Boga.

Oczywiście, solipsyzm Jeansa i jego niezrozumienie dla prymatu etyki, dla sprawy przeznaczenia człowieka, nie mogą znaleźć punktów stycznych z doktryną katolicką. Abstrahując całkiem od faktu, że astrofizyk angielski jest protestantem, skłonność do powoływania się na pewne jego pseudonaukowe wywody potraktować wypada jako świadectwo upadku myśli teologicznej wśród katolików. Ale oczywistą jest także rzeczą, że Jeans znajduje się razem ze swymi zwolennikami, ze wszystkimi konsekwentnymi i niekonsekwentnymi (jak np. katolicy) idealistami — po jednej stronie barykady. Po drugiej stoją materjaliści.

I znowu dzieje się to w myśl formuły Engelsa (z„Ludwika Feuerbacha“):

„Wielkie podstawowe zagadnienie całej filozofji, a zwłaszcza nowożytnej, dotyczy stosunku myślenia do bytu, ducha do przyrody... Co jest początkiem bytu — duch czy przyroda? Zależnie od odpowiedzi na to pytanie podzielili się filozofowie na dwa duże obozy. Ci, którzy uznawali pierwotność ducha wobec przyrody, w końcu więc w jakiejkolwiek postaci stworzenie świata, reprezentowali obóz idealistyczny. Inni, pojmujący przyrodę jako coś pierwotnego, należeli do rozmaitych szkół materjalizmu“.

Nikt nie zaprzeczy, że wśród przedstawicieli nauki oficjalnej bez porównania więcej mamy zwolenników różnych szkół idealizmu, niż materjalistów. Dla zrozumienia tego stanu rzeczy musielibyśmy sobie nietylko odtworzyć obraz wspóczesnej fizyki, ale sięgnąć do klasowych korzeni filozofji, do analizy filozofujących mózgów z punktu widzenia zapotrzebowań mieszczańskiego społeczeństwa. Nie jest to jednakże zadaniem niniejszego artykułu. Ambicją jego było wykazać żywotność materjalizmu i nieżywotność teologji w kilku bardzo istotnych, węzłowych punktach. Od lat pragniemy, aby tę kwestję omówił ktoś szczególnie kompetentny (Prof. Rudniański? Prof. Rajchman?).

Centralnem zagadnieniem był dla nas problem stworzenia. Staraliśmy się wykazać, że nic w nauce współczesnej nie przemawia z a przyjęciem pierwotnego aktu kreacyjnego. A co przemawia p r z e c i w? — spyta ciekawy czytelnik. To, że nic nie przemawia z a — odpowiemy. Nie potrzebujemy nigdy uzasadniać, że nie było faktu, którego istnienie zgóry nie podlegało niczyjemu doświadczeniu. Znakomity biolog, Jan Dembowski, pisze:

„...K o p e r n i k nie obalił zdania K e p l e r a, który sądził, że każda planeta posiada swego własnego anioła — stróża, prowadzącego ją poprzez niezmierzone pustynie wszechświata.[11]) K o p e r n i k nie udowodnił, że t a k n i e j e s t i zapewne nigdy się na dowód podobny nie zdobędziemy, co nie przeszkadza nam zresztą uznawać system kopernikański za słuszny. Podobnie możemy udowodnić zmienność gatunków i odnaleźć jej przyczyny, a jednak rzucą nam pytanie: skąd wiecie, że organizmy nie zostały stworzone w pewnym okresie rozwoju ziemi, stworzone razem ze zmiennością i prawami, które zmiennością rządzą? Nie wiemy tego i nigdy wiedzieć nie będziemy. Wiemy tylko, że dogmaty w historji ludzkości zawsze były czynnikiem hamującym, zawsze ich powodzenie polegało nie na jakichś własnych zdobyczach, bo dogmat z natury rzeczy jest czemś bezwładnem i nieruchomem, tylko jedynie na niepowodzeniach nauki“ („O istocie ewolucji“, str. 144).

Słowa te, przed kilkunastu laty pisane, jakże aktualne są dziś, gdy dogmatyści tak bezceremonjalnie starają się wykazać ostry kryzys fizyki. Prawdę, którą one zawierają, rozumiał już Laplace. Któż nie pamięta tej historycznej sceny, kiedy Napoleon po zapoznaniu się z pierwszem wydaniem „Exposition du système du monde“ zagadnął genjalnego astronoma: „Newton mówił o Bogu w swej książce. Ja przejrzałem już pańską i nie znalazłem w niej tego imienia ani razu“. Laplance odrzekł dumnie: „Obywatelu pierwszy konsulu, ta hipoteza była mi niepotrzebna“.

„Hipotezę“ tę należy, oczywiście, wziąć w cudzysłów. Znajduje się ona bowiem na zewnątrz granic nauki. Niczego nie wyjaśnia i nic nie tłumaczy. Nie posiada żadnych walorów heurystycznych. I dlatego: jakież znaczenie mieć może wszelkie formalne rozgraniczenie obszarów wiedzy i wiary? Cóż z tego, że są to zgoła odmienne pojęcia, że różnią się słownikowo, skoro w walce o zdobycie prawdy, dogmatyzm wierzących był zawsze przeszkodą? Cóż z wyodrębnienia dziedzin nauki i wiary, skoro „przedwstępne prawdy do artykułów wiary“ (praeambulae fidei),[12]) nie wydają się być wcale prawdami z naukowego punktu widzenia? I to pomimo nadwyraz im sprzyjających kryzysowych warunków, w jakich znalazła się nauka dzisiejsza! Co daje absolutnie logiczne rozróżnienie dwu źródeł poznania, naturalnego i nadnaturalnego, empiryczno-rozumowego i objawieniowego, skoro tylko to pierwsze bije bez przerwy, wiecznie życiodajne, wciąż obfitsze, wciąż czystsze? Skoro to drugie poznanie nie przyczynia się do otwarcia perspektyw na nowe światy, nie przynosi panowania nad naturą, nie żyje, a trwa trwaniem mumij? Skoro zwęża ono bez przerwy swą dziedzinę i zakres? Skoro nie chcemy już uważać obłąkanych za opętanych przez djabła? Skoro nie chcemy pławić czarownic? Skoro uśmiechamy się, czytając, że Newton przewidywał osobistą interwencję Boga na wypadek „popsucia się“ systemu słonecznego? Skoro kościół nie zabrania już anatomicznej analizy zwłok? Skoro nie pali się dziś pism Demokryta, a tylko książki autorów współczesnych? Skoro grzeszników-przestępców rozgrzesza dziś częstokroć nie spowiednik, lecz psychjatra? Skoro panurym zabobonem wydaje nam się przeświadczenie św. Tomasza o obcowaniu płciowem demonów z ludźmi („S. t.“, t. III. części I., str. 21)? Skoro nie będziemy w roku 2000-nym oczekiwać końca świata tak, jak to czynili nasi przodkowie w roku 1000-nym? Skoro powoływanie się na pozakościelny autorytet lekarza nie jest równoznaczne z oddawaniem się djabłu w opiekę — jak sądził św. Cezary Arelateński? Skoro nie wierzymy już Linneuszowi, że „tot sunt species quot ab initio creavit infinitum ens“?[13]) Skoro nie trwożymy się widokiem komet, tych „ognistych rózg bożych“? Skoro zwyciężył — Galileusz?

Zbliżamy się do finału naszych rozważań. Będzie to niewątpliwie partja najbardziej ryzykowna. Na szczęście, można się do niej ustosunkować jako do odrębnej całości.

Przed dwoma laty ukazała się w Paryżu nakładem Editions Sociales Internationales książka Paul Labérenne'a („agrégé de l'Université“) p. t. „L'origine des mondes“. Była reklamowana jako „pierwsze marxistowskie objaśnienie pochodzenia światów“. Autor sugeruje w niej, że termin początek (commencement) rzeczy kryje za sobą myśl o stworzeniu, a więc i o Stwórcy. Sam zaś mniema, że materja (w ruchu) jest wieczna. Popiera też teorję wahającego się świata, który perjodycznie rozszerza się i kurczy („...l'univers est **oscillant**, alternativement il se dilate et se contracte“). „Jego promień znajdował się w minimum przed wielu miljardami lat, powiększał się nieprzerwanie, dopóki ekspansja ta nie osiągnęła pewnego maximum, odkąd świat znów zaczął się kurczyć, aby uzyskać swój promień minimalny — i tak w nieskończoność; cykl, w którym znajdujemy się obecnie był poprzedzony przez nieskończoność cyklów podobnych“ (str. 252). „Sławetny początek świata staje się poprostu szczególną datą, pewnego rodzaju „rocznicą“ w cyklicznej jego ewolucji, i nie wolno już marzyć, że w tej epoce narodził się ruch ze spoczynku lub że materja została wówczas rzucona we wszystkich kierunkach skutkiem jakiegoś tajemniczego czarodziejstwa“ (str. 253). „Zatrzymywać się dobrowolnie na epoce początkowej, stworzonej przez kreacjonistów (créationnistes), to najlepszy sposób odwrócenia się plecami do właściwego rozwiązania, i to znaczy świadomie lub nie uprawiać grę idealistów“ (str. 261).

Nie wydaje się, aby stanowisko, zajęte przez Labérenne'a, znajdowało głębsze usprawiedliwienie w dzisiejszym stanie wiedzy. Teorja cyklicznego wszechświata jest, jak dotychczas, najsłabiej poparta obserwacjami, całkiem niedostatecznie rozwinięta, zbyt łatwo przechodząca obok pewnych trudności. Naogół nie cieszy się też ona uznaniem wśród powag nauki współczesnej. Naodwrót: zagadnienie początku wszechrzeczy, kto wie, czy nie będzie odgrywało coraz poważniejszej roli, przynajmniej jako hipoteza robocza. Dlatego zajmują się niem nietylko kreacjoniści, ale i np. wybitny astronom francuski Henri Mineur, marxista. (Charakterystyczne, że i on, podobnie jak Eddington, zbliża się w swej teorji, której nie będziemy tu wyjaśniać, do starej, metafizycznej, ale niemniej genjalnej koncepcji Kanta — por. przypisek 8).

Wszelako — czyż nie znaleźliśmy się tu w opozycji nie do Labérenne'a wyłącznie, ale do marxizmu wogóle? Wszak czytamy w starej przedmowie do „Dialektyki przyrody“:

„Materja porusza się w wiecznym kołowrocie... w którym każda poszczególna forma istnienia materji, obojętne, słońce czy mgławica, pojedyncze zwierzę czy gatunek zwierzęcy, chemiczna analiza czy synteza, jednakowo jest przemijająca, i w którym niemasz niczego wiecznego prócz wiecznie zmieniającej się, wiecznie poruszającej się materji i praw jej ruchu i zmiany. Ale bez względu na to, jak często i jak bezlitośnie dokonywałby się w czasie i przestrzeni ten kołowrót, ile niezliczonych słońc i ziemi powstawałoby i ginęło; bez względu na to, jak długo przyszłoby czekać, aż w jakimś systemie słonecznym, na jakiejś planecie pojawią się warunki, konieczne dla życia organicznego, ile niezliczonych istot musiałoby zginąć i zniknąć, zanim z ich środowiska wyszłyby zwierzęta z myślącym mózgiem, znajdując na krótki okres dogodne dla swego życia warunki, ażeby następnie zostać także wytępionemi bez miłosierdzia — zawsze będziemy przeświadczeni, że materja we wszystkich swoich przemianach pozostaje wiecznie tą samą, że żaden z jej atrybutów nie może zginąć, i że dlatego z tą samą żelazną koniecznością, z jaką ona kiedyś wytępi na ziemi swój najwspanialszy kwiat — myślącego ducha, zmuszona ona będzie znowu go zrodzić gdzieś na innem miejscu i w innym czasie“.

Na jakich przesłankach opiera się ten potężny obraz? Na stwierdzeniu, że „wypromieniowane w przestrzeń międzygwiezdną ciepło powinno mieć możność jakąś drogą — którą odkryć jest zadaniem przyszłego przyrodoznawstwa — zmienić się w inną formę ruchu“ oraz na logicznym wywodzie, głoszącym, iż „wiecznie powtarzające się konsekwentne pojawianie się światów w nieskończonym czasie okazuje się tylko logicznym korelatem do jednoczesnego istnienia niezliczonych światów w nieskończonej przestrzeni“.

Nauka dzisiejsza nie odkryła (jeszcze?) owej drogi, którą przewidział Engels. Termiczna śmierć świata jest wnioskiem teoretycznym z drugiego prawa Carnota, mającym solidną podbudowę. Być może, że wniosek ten okaże się kiedyś zbyt skrajny. T. zn., że drugie prawo Carnota wolno będzie stosować tylko do poszczególnych układów fizycznych, a nie do całości wszechświata. W przewidywaniach na ten temat nie posunęliśmy się naprzód od czasów Engelsa. Ale sprawa końca świata wiąże się z zagadnieniem jego początku tylko pośrednio i dlatego nie będziemy się tutaj nią zajmować.

Ciekawszy dla nas jest wywód logiczny o nieskończonem odradzaniu się światów. I znów stwierdzić musimy, że nauka współczesna nie przynosi dowodów dla engelsowskiej tezy. Co więcej: czyż nie mogliśmy zwątpić w istnienie niezliczonych światów, gdy przed dwunastu laty uczeni usiłowali obliczyć promień c a ł e g o w s z e c h ś w i a t a? A dziś, gdy wprawdzie obliczenie to okazało się niewykonalne, ale jednak wydaje się pewnem prawie, że świat jest „skończony choć nieograniczony“ („fini et ilimité“)? „Sądzę, że świadectwem genjuszu Einsteina jest prosty i bezceremonjalny sposób, w jaki pozbył się powikłań w nieskończoności: usunął ją poprostu. Wprowadził do swych równań drobną zmianę, która zmusiła przestrzeń do zakrzywiania się na wielkich odległościach; zakrzywienie to powoduje zamknięcie się przestrzeni. Oznacza to, że jeżeli ktoś porusza się w przestrzeni Einsteina stale w tym samym kierunku, nie oddala się w nieskończoność, lecz wróci znowu do punktu wyjścia“. (Eddington, op. cit.) Czy wobec takich osiągnięć fizyki mógłby dziś Engels mówić o „nieskończonej przestrzeni“?

Podobnie przedstawia się sprawa z „wiecznością“. Czas został nierozerwalnie związany z przestrzenią, wszedł nawet jako jedna ze współrzędnych do czterowymiarowego continuum Einsteina. Inaczej płynie on na naszym globie, inaczej zaś na innych ciałach niebieskich, poruszających się w stosunku do ziemi. Dwa zjawiska, które będą dla nas jednoczesne, nie okażą się takiemi dla obserwatora na innej planecie. Każdy układ fizyczny poruszający się w przestrzeni ma swój własny czas względny, którym mierzy zjawiska, czas zaś absolutny nie istnieje, jak nie istnieje przestrzeń absolutna i ruch absolutny (por. E. Rybka: „Czas astronomiczny“, artykuł w encyklop. „Świat i Życie“). A czyż „wieczność“ nie była jednym z atrybutów czasu absolutnego? I czy wobec tego słowa o „wiecznym kołowrocie poruszającej się materji“ nie stały się beztreściwe?

Engels rozumiał doskonale, że czas i przestrzeń, traktowane w oderwaniu od materji, stanowią tylko „puste wyobrażenie, abstrakcję, istniejącą jedynie w naszej głowie“. Ale nie przeczuwał, jak daleko pójdzie zobjektywizowanie tych dwu form każdego zjawiska w dzisiejszem stadjum rozwoju fizyki. Nie przeczuwał, że ta potężna o b j e k t y w i z a c j a pociągnie za sobą r e l a t y w i z a c j ę. Czas i przestrzeń Engelsa były absolutne. Takie same, jak św. Tomasza.[14]) W czterowymiarowem continuum zaś są one nietylko bardziej przedmiotowe, ale i bardziej względne, niż kiedykolwiek.

Skoro tedy mówimy dziś o początku wszechrzeczy, powinniśmy rozumieć pod tym terminem także początek czasu i przestrzeni. Nie było nigdy „pustej“ przestrzeni ani „pustego“ czasu. Niema ich poza zjawiskami. I jeżeli ostatecznie zostaniemy zmuszeni przyjąć, że świat wybuchł kiedyś, jak wielka niespodzianka — to owo „kiedyś“ będzie oznaczać wyłącznie narodziny czasu. „Coś“ eksplodowało w nicości. Przerwało ją. Jesteśmy drobinami eksplozji. Trwamy. Czy eksplozja ta skończy się kiedyś? Nauka współczesna sądzi, że raczej tak.

Nie przekładamy zresztą głośnej hipotezy Milne'a ponad inne. W dziedzinie rozważań o początku świata nauka ścisła stawia dopiero swe pierwsze, całkiem jeszcze niemowlęce kroki. Nadewszystko musimy się troszczyć, aby nie zaufano św. Tomaszowi, iż „to, że świat zaczął istnieć, jest przedmiotem wiary, a nie można tego dowieść, ani tego wiedzieć“ („S. t.“, t. III części I, str. 184). Przeciwnie: bądźmy przekonani, że właśnie dzisiejsze niepowodzenia zwiastują nam przyszłe sukcesy na tym arcy-trudnym odcinku poznawczej pracy ludzkiej. „...Zwracałem uwagę na niebezpieczeństwo, z którem jest związane ograniczenie badania naukowego do dziedziny zbytnio zwężonej. Zamiast uczciwie zmierzyć się z zagadnieniem, możemy się zadowolić przekonaniem, żeśmy trudność rozwiązali (dzięki czynnikowi „nadnaturalnemu“ — przyp. mój, Z. J.), podczas gdy na-

*) Por. nr. 59 „Sygnałów“.

prawdę odsunęliśmy ją tylko dalej. Odsuwanie takie tworzy z tych trudności przegrodę, która z czasem staje się nieprzebyta. Może właśnie tę przegrodę nazywamy „początkiem wszechrzeczy“. (Eddington, op. cit., str. 174).

Niewykluczone jeszcze, że nauka da sobie radę z ową przeszkodą, przyjmując engelsowski punkt widzenia. Myśl zatoczy łuk ponad „początkiem świata“ i odkryje, że ani skończoność jego rozmiarów, ani druki kanon termodynamiki nie godzą w bezustanne odradzanie się materji vel energji. Ale być może również, że nawet weryfikacja hipotezy rozprężającego się i kurczącego świata nie pozwoli uniknąć kwestji jego początku. Tej prostej uwagi logicznej nie chce lub nie może zrobić Labérenne.

Tymczasem wszelkie rzetelnie naukowe rozwiązanie omawianego tu problemu może okazać się jedynie ostatecznem potwierdzeniem tez materjalizmu. Żadna z nauk przyrodniczych nie wykazała pierwotności ducha wobec materji. A fizjologja oświadcza, że myśl poza mózgiem jest nie do pomyślenia . Odnalezienie początku rzeczy — czemkolwiekby on się okazał — nie może zaszkodzić naszemu ich rozumieniu. „Hipoteza“ laplace'owska zawsze pozostanie tylko „hipotezą“. Coraz głębiej pojmujemy rzeczywistość za pomocą „rozumu naturalnego“.[15]) Czy zagadnienie początku świata będzie najpóźniej rozstrzygnięte ze wszystkich, jakie narzucają się nauce współczesnej? Niesposób odpowiedzieć na to pytanie. Tem bardziej zaś nie można określić, jaki wpływ wywrze taka lub inna odpowiedź na praktyczną działalność ludzi. Wiemy tylko, że nie istnieją zagadnienia czysto-teoretyczne. Znakomity fizyk Joffé definjuje: „Nie mówimy: nauka czysta. Mówimy: nauka, która nie znalazła jeszcze zastosowania“.

Dlatego nie ma racji Lubojański, twierdząc, że „losy socjalizmu napewno nie będą zależały od elektronów“. Nauka o budowie materji jest zresztą ściślej związana z problematem przebudowy społecznej i technicznej, niż sprawa początku wszechrzeczy. Słusznie też zauważyła przed kilku laty Zofja Nałkowska:

„...przyszłość czy trwałość eksperymentu sowieckiego wydaje mi się zależna od tego, czy „materja“, jako kategorja gnoseologiczna, wykaże, że tak powiem, zdolność rozwojową, zdolność adoptacji do wciąż bardziej zadziwiających odkryć w zakresie nauki ścisłej rozsadzającej istotę i jakość materji, jako przedmiotu fizyki“. („Wiadomości Literackie“, 12. XI. 1933, nr. 49 (520)).

Bez pewnych teoretycznych rozwiązań, tyczących kwestji przenoszenia energji niemożliwa też byłaby „elektryfikacja całego kraju“. A elektryfikacja ta stanowi przecież jeden z dwu członów pewnej sławnej definicji, która najbardziej lapidarnie wyjaśnia nam sens sowieckiego ustroju.

Jakiż więc najogólniejszy wniosek da się wyciągnąć z naszych rozważań?

Współczesna fizyka leży w połogu. „Rodzi ona dialektyczny matejalizm“. A przejawia się to nietylko w p o t w i e r d z a n i u przez odkrycia fizyczne tez filozofji marxowskiej, ale także w p o g ł ę b i a n i u jej przez te odkrycia. Pogłębianiu, idącemu nieraz tak daleko, że pozornie godzi ono w materjalizm wogóle, podczas gdy naprawdę zwraca się wyłącznie przeciw materjalizmowi mechanistycznemu. Engels przypisywał materji „wieczność“. My zaś bynajmniej nie traktujemy tego atrybutu jako „tabu“. „Bowiem j e d y n a „własność“ materji, z której uznaniem jest związany materjalizm filozoficzny, jest własność b y ć o b j e k t y w n ą r z e c z y w i s t o ś c i ą, istnieć poza naszą świadomością“. „Niema najmniejszej wątpliwości, że już w pierwszym etapie swego rozwoju jako materjalistów Marx i Engels byli d i a l e k t y c z n y m i materjalistami także, jeśli chodzi o ich poglądy na przyrodę. Ale c a ł k o w i c i e rozwiązać w odniesieniu do nauk przyrodniczych to zadanie, które oni rozwiązali w dziedzinie nauk społecznych, było wówczas niemożliwością — nie dojrzały do tego nauki przyrodnicze i technika społeczna, nie stanęły jeszcze w całej okazałości przed naukowem poznaniem i praktyką społeczną dialektyczne przeciwieństwa przyrody w ich konkretności“. Zrozumiałe, że nieporównanie większy dystans dzieli nas pod tym względem od Engelsa z osiemdziesiątych lat ubiegłego stulecia, niż dzielił wówczas jego samego, uczonego w pełni sił twórczych, od niezwykle zapowiadającego się młodego mężczyzny z lat czterdziestych i pięćdziesiątych, współautora „Manifestu“.

W związku z dzisiejszem stadjum rozwoju fizyki teologja odnosi jeszcze pozorne sukcesy, związane ze świadomym lub nieświadomym oportunizmem uczonych mieszczańskich, z ich absolutną nieznajomością dialektycznego materjalizmu. A materjalizm ten karmi się, żyje i rośnie rzetelnemi osiągnięciami nauki. Do niego też należy ostateczne zwycięstwo. Do niego — jako metody, w pewnem nawet przeciwieństwie do całości marxizmu — jako doktryny. Żadna bowiem doktryna „nie jest święta“. A już tezy marxowskie najmniej podobne są do dogmatów. W przyszłem społeczeństwie bezklasowem marxizm jako teorja walki klasowej i światowo-historycznej roli rewolucyjnej proletarjatu stanie się zabytkiem historycznym. Czego zresztą nie należy oczekiwać przed upływem bieżącego stulecia. Żywot materjalizmu filozoficznego będzie, oczywiście, niepomiernie dłuższy. Tylko ewentualny koniec istnienia ludzkości przekreśli i jego istnienie. Ale nic innego. Na złość Lubojańskim i Żukowskim. Niech się martwią.

PRZYPISY

[9]) Znajdujemy u niego ponadto taki bardzo interesujący passus krytyczny o Jeansie:

„...znaleziono, że pewne wzory matematyczne mogą wyrażać prawa, rządzące światem przez nas obserwowanym. Jeans stara się udowodnić, że świat musiał być stworzony przez Matematyka dla przyjemności obserwowania tych praw w czasie działania... Wydaje się prawdopodobne, że dowolnie pomyślany świat, obojętne jaki, może być ujęty przez matematyka, wystarczająco zdolnego, we wzory, wynikające z ogólnych praw... Gdyby Pan Bóg był czystym matematykiem, jak to przypuszcza Jego rycerski obrońca, to nie chciałby zezwalać Swoim wyobrażeniom na istnienie w nieodpowiednich zewnętrznych warunkach. Przecież zamiłowanie ucznia do kreślenia krzywych i budowania modeli geometrycznych zgoła nie odpowiada godności profesora, a jednakże to pragnienie właśnie przypisuje Stwórcy Sir James Jeans, gdy poucza nas, że świat składa się z wyobrażeń, które dadzą się podzielić na trzy kategorje: myśli Pana Boga, myśli ludzi czuwających, myśli tych, którzy śpią i mają złe sny. Autor nie wskazuje przez co się przyczyniają dwie ostatnie kategorje myśli do udoskonalenia świata, natomiast, ponieważ myśli Boga są najlepsze, przeto nie możemy pojąć, co można było uzyskać przez stworzenie tylu bezwartościowych rzeczy“ (op. cit., str. 130—132).

[10]) Por. Max Planck: „Die Physik im Kampf um die Weltanschauung“. J. A. Barth — Verlag, Leipzig, 1935.

Niezmiernie interesującemu, probierczemu do pewnego stopnia zagadnieniu „przyczynowość w świetle wiedzy współczesnej“ poświęcimy, być może, osobny artykuł. Jest to ulubione zagadnienie Plancka. Niestety, po polsku ukazało się tylko tłumaczenie jego broszury p. t. „Der Kausalbegriff in der Physik“ (w zbiorku „Mathesis Polskiej“, zawierającym ponadto dwie doskonałe prace Schrödingera). Znajduje się w niem m. inn. stwierdzenie, że „...w świecie teoretycznym fizyki kwantowej panuje determinizm równie ścisły, jak w fizyce klasycznej, inne są tylko użyte symbole i przepisy rachunkowe“. W żadnej wypowiedzi Plancka niema nic, na czem rzeczywiście mogliby oprzeć się teologowie. Jego pojęcie „idealnego intelektu“ jest aż nazbyt ogólnikowe, niesprecyzowane i tylko teorjopoznawcze. Pozatem Nestor fizyki współczesnej zdaje się pozostawać pod wpływem Savigny'ego i religję traktuje jako część składową kultury każdego narodu. Twierdzi, że „każda nauka tak samo jak każda sztuka i każda religja, wyrasta na gruncie narodowym“ (D. Physik im Kampf um d. Weltanschaung“, str. 28). Bylibyśmy też bardzo ciekawi zobaczyć na własne oczy tego mitycznego katolika, który wedle Lubojańskiego „sypie cytatami z Plancka, jak z rękawa“. Sądzimy bowiem, że nawet nieźle oczytany katolik (w rodzaju np. dr. A. Żukowskiego) przyjmuje na wiarę twierdzenia o teologicznych walorach nauki współczesnej.

Zaznaczyć też wypada, że kto jednym tchem wymawia nazwiska Plancka i Jeansa, ten niebardzo wie, co czyni. Pomiędzy obu tymi uczonymi jest jednak pewien dystans. Dystans, dzielący genjusz od talentu. Ale nawet jako popularyzator Planck nie przypomina wcale Jeansa. Pisze, nie rezygnując z literackich afektów, pyszną, klarowną niemczyzną; jego styl, zdobiony pięknemi porównaniami, jest potoczysty i majestatyczny nieomal. Ale widać też, że twórca teorji kwantów waży każde swe słowo: jest powściągliwy, daleki od niepoważnej pochopności angielskiego astrofizyka, i nie próbuje nigdy obciążać fizykalnych teoryj teologicznemi nadbudówkami.

Proszę się jednak nie lękać: mimo słów głębokiego szacunku i uznania, jakie go tu spotkały, Planck nie jest bynajmniej ani marxistą, ani „marxista“. Jeśli nawet gdzieś na dnie jego postawy kryje się materjalizm, właściwy w pewien naturalny sposób przyrodnikom, to materjalizm ten nie odznacza się ani precyzją ani konsekwencją. Nawet kwestję panowania przyczynowości w świecie fizycznym usiłuje Planck ostatecznie zepchnąć na „neutralny“ tor „niewłaściwego sformułowania problemu“ („D. Physik im Kampf um d. Weltanschauung“, str. 12). W każdym bądź razie podkreślić należy, że genjalny starzec jest jednym z tych uczonych, którzy nie doznali zawrotu głowy pod wpływem postępów fizykalnego kryzysu.

[11]) Redacja tego zdania może nasunąć niewłaściwe skojarzenie chronologiczne. Kepler urodził się, jak wiadomo, w dwadzieścia kilka lat po śmierci Kopernika. Ale jeszcze i po śmierci Keplera kościelni przeciwnicy Galileusza twierdzili, że planety są sterowane przez aniołów. (przypisek mój, Z. J.).

[12]) „Istnienie Boga i inne tego rodzaju prawdy, które rozumem naturalnym mogą być poznane o Bogu... nie są artykułami wiary, lecz przedwstępnemi prawdami do tych artykułów“ („Suma teologiczna“, t. I., części I., str. 20).

[13]) „Tyle jest gatunków, ile ich na początku stworzył Nieskończony Byt“.

[14]) Jeszcze pod koniec ub. stulecia można było akcentować raczej różnice, niż podobieństwo w poglądach autora „Dialektyki przyrody“ i autora „Sumy teologicznej“ na czas i przestrzeń. Św. Tomasz wyraźnie podkreślał, że obie te formy istnienia materji miały swój początek. Twierdził, że przed stworzeniem świata „nie było ani miejsca ani przestrzeni“ („S. t., t. II. części I, str. 181). „Cztery rzeczy zaś przyjmuje się jako stworzone równocześnie, mianowicie niebo empirejskie, materję cielesną (pod którą rozumie się ziemię), czas i naturę anielską“ (t. II części I, str. 187; por. także t. III części I, str. 185). Trudności, wynikające z przyjęcia czasu absolutnego rozwiązywał św. Tomasz w ten sposób, że „wieczność“ traktował jako coś całkiem odmiennego od czasu, a „wiekuistość“ „jako coś pośredniego między niemi“ (t. I części I, str. 91). „Bóg jest pierwszy od świata co do trwania. Lecz to p i e r w e j nie oznacza pierwszeństwa czasu lecz wieczności. — Albo należy powiedzieć, że oznacza wieczność czasu wyobrażeniowego a nie istniejącego rzeczywiście. Jak naprzykład, gdy się mówi p o n a d n i e b e m n i e m a n i c z e g o, to p o n a d oznacza tylko miejsce wyobrażone, odnośnie do tego, że można sobie wyobrazić, iż się dodaje do rozmiarów ciała niebieskiego inne rozmiary“ (t. II części I, str. 182). Jak widzimy, „wieczność“ św. Tomasza była engelsowskiem „pustem wyobrażeniem“, wymuszoną i napuszoną fikcją. Kto chce bliżej zapoznać się z omawianemi tu pojęciami, niech zajrzy przedewszystkiem do „S. t.“, t. I części I, str. 84—95. My nie będziemy zajmować czytelnika dalszą analizą scholastycznej akrobatyki. Może warto zaznaczyć tylko, że pozorna zbieżność poglądów Doktora Anielskiego na początek czasu i przestrzeni z wynikami wiedzy dzisiejszej jest czysto przypadkowa. Po pierwsze dlatego, że poglądy te nic nie mówią o zasadniczej względności obu form zjawiskowych, a po wtóre dlatego, że zostały one zwyczajnie wydedukowane z artykułu wiary o stworzeniu.

[15]) „Ostatnich 8 lat — pisał doc. dr. Leopold Infeld w r. 1933 — to okres tak intensywnego i potężnego rozwoju nauki, jakiego nie pamięta historja myśli ludzkiej“. „Pogłębiliśmy nasze poznanie, a jednak rzeczywistość stała się dla nas jeszcze bardziej pełna niezrozumiałych zjawisk i niepokojących zagadek“ („Nowe drogi nauki“, str. 237). „Wielkie idee, nowe teorje, rodzą się z tragicznych konfliktów, z uwikłań i sprzeczności, z których zdawałoby się, nie znajdzie nauka wyjścia. W ten właśnie sposób powstały w nauce dwie największe teorje XX wieku: teorja względności i teorja kwantów“ (str. 33). A dziś: „Dostrzegamy już znowu rysy i pęknięcia, zwiastuny załamań teoryj starych i narodzin nowych myśli“ (str. 237).

Dialektyczny charakter naszego poznania został uchwycony w słowach powyższych najzupełniej trafnie. Mniej trafną myśl zawiera ostatnie zdanie ze str. 19: „Widzimy więc, że rozwój nauki powiększa równocześnie świadomość naszej niewiedzy, z a ś c e l, k t ó r y s o b i e n a u k a s t a w i a, s t a j e s i ę w m i a r ę j e j r o z w o j u c o r a z s k r o m n i e j s z y“ (podkreślenie moje, Z. J.). Uogólnienie to zdaje się polegać na niezbyt szczęśliwem użyciu wieloznacznego pojęcia: „cel“. Wprowadzenie metod statystycznych do fizyki w pewnym sensie tylko ograniczyło nasze poznanie, ale właściwie umożliwiło jego pogłębienie, podobnie jak relacje Heisenberga, zakładając pewne granice poznaniu, pozwoliły nam jednak lepiej zrozumieć konstrukcję rzeczywistości. Niektórym uczonym XIX w. przyświecał cel „ostatecznej formuły“, zasadniczego rozwiązania wszystkich najważniejszych problemów przyrody. A dzisiaj? „Teorja ostateczna, niezmienna, wyjaśniająca wszystkie zjawiska, jest w obecnym stanie nauki ponurą fikcją umysłu, nie wyczuwającego nieskończonego bogactwa rzeczywistości“ (str. 234). Czy cel nauki stał się przez to naprawdę skromniejszy? Raczej przeciwnie. Albo może pojęcie „skromności“ jest bardzo względne? Wyobraźmy sobie koło, w które wpisujemy wielokąty, zaczynając od kwadratu. Im większa liczba boków wpisanej figury, tem większa jej powierzchnia, tem bliższy staje się jej obwód obwodowi koła. Oto obraz postępu nauki. Wiek XIX mógł sądzić, że rozwiąże tę specyficzną kwadraturę koła. Chciał się zatrzymać na jakimś dziesięciociy dwudziestokącie. A my dzisiaj wiemy, że nawet figura o tysiącu kątów nie osiągnie obwodu koła. T. zn., że za sto i za dwieście lat nauka nie będzie odtwarzać rzeczywistości bez reszty. Dziesięcio- i dwudziestokąty minęliśmy już dawno. Gdzież tu może być mowa o „skromniejszym“ celu?

Zygmunt Jarosz

Błędy drukarskie w I. części artykułu: Szpalta 2, wiersz 20 od dołu: zamiast „stwarzają się gwiazdy“ powinno być „**starzeją się gwiazdy**“; wiersz 11 od dołu: zamiast „należą“ powinno być „**zależą**“; wiersz 6 od dołu: w liczniku wzoru zamiast „mo“ powinno być „m“ z zerem w prawym dolnym rogu.

Szpalta 3, wiersz 11 od góry: zamiast „jedność materji i promieniowania“ powinno być „**jednorodność** materji i promieniowania“.

Szpalta 5, wiersz 2 od dołu: zamiast „dlatego“ powinno być „**nie dlatego**“.

Pozatem omyłkowo i zbędnie zostały wydrukowane kursywą słowa: „mierzyć“ (szpalta 2, wiersz 22 od dołu) oraz „nadając.....godność“ (szpalta 5, wiersz 33 od góry).

GABRJELA PAUSZER

„PRZYGODY OŻYWIONYCH FORM“

Sztuka filmowa, dzięki swym czysto wizualnym założeniom, bardziej aniżeli inne dziedziny sztuk pięknych przekreśla ciążące nad ludzkością językowe przekleństwo wieży Babel. Dostępna szerokim masom publiczności pod każdą szerokością geograficzną — jest dla nich zapomnieniem i ucieczką. Publiczność szuka w kinie przedewszystkiem spełnienia swych marzeń i nadziei. Żąda od filmu happy endu, który tak rzadko jest udziałem ludzkiego istnienia; lubi bohaterów o charakterze zdecydowanym, odrazu uchwytnym i zrozumiałym.

Kino wyrosło na gruncie kalkulacji handlowej i idzie po linji upodobań przeciętnego widza. Tworzy więc przedewszystkiem filmy realistyczne i wciąż jeszcze waha się między jałowem odtwarzaniem życia a sztuką świadomą swych środków i zamierzeń. Niekiedy ręka utalentowanego reżysera potrafi wyrwać rzeczywistość z rzędu powszednich asocjacyj i uczynić z niej dzieło sztuki. Naogół jednak ani przeciętny reżyser ani konsument filmowy niewiele mają zrozumienia dla istoty sztuki filmowej. Dopiero film rysunkowy stworzył dla ekranu świat nowy, świat czysto kinowy, posiadający własne prawa i własną bardzo precyzyjną przyczynowość.

Zgodnie z najsilniejszym imperatywem ekranu, ożywione linje rysunków dają wyłącznie wzrokowo przeżywaną rzeczywistość, zupełnie inną od rzeczywistości filmów realistycznych. Nie życie bowiem jest tu formowane, ale gotowe formy stają się życiem. Nie treść jest tu ważna, ale kompozycja form. Usprawiedliwia ona wszelką deformację życia nawet najbardziej nonsensowną z punktu widzenia świata zewnętrznego i jego logicznych przesłanek.

Nikogo nie dziwi niezwykła rozciągliwość rysunkowych marjonetek i ich fenomenalna zdolność transformacji. Ogon kota Feliksa („gwiazdor“ pióra Sullivana) zmienia się w wiosło lub spadochron, clown Coco na przedziwnych instrumentach wygrywa najrzewniejsze melodje, ogon genjalnej Micky, myszki Uba Iweeksa, zmienia się w most lub drabinę, żółw jest lokomotywą, a jego podbrzusze — tarą do prania. Ale wyliczanie poszczególnych faktów nie odtworzy tego cudownego zjawiska, jakiem jest film rysunkowy. Przygody ożywionych form, jakiemi są ekranowe perypetje clowna Coco, czy psa Fido („gwiazd“ Fleischera) nie dadzą się opowiedzieć. Słusznie bowiem powiedział Irzykowski, że twory prawdziwie kinowe „trudno wchodzą w odzież słów“.

Należy jednak zastanowić się, na czem w filmie rysunkowym polega ta przedziwna transformacja i deformacja świata? Jaki jest jej sens i znaczenie? Nie jest przecież bezmyślnem zbaczaniem z utartych szlaków sztuki filmowej. Nie jest także zaprzeczeniem tego, co kino realistyczne zdobyło i zdobyć jeszcze potrafi. Jest przedewszystkiem, i to rzecz najważniejsza, rozszerzeniem kompozycyjnych możliwości srebrnego ekranu.

Filmy rysunkowe stwarzają bowiem nową rzeczywistość, rzeczywistość ekranową. Zastana treść przeobraża się tu w nowa formę o pewnej swoistej i zamkniętej w sobie konstrukcji. Szczególne warunki, jakiemi się tu dysponuje, dają możność tworzenia zupełnie nowych efektów, które sczasem zmienią zapewne i samą dziedzinę ciekawości widza. Nauczą go tej prawdy, że nie wąsik Menjou, nie kuszący profil Marleny, nie bogactwo egzotyzmu, ani sama fabuła, ale sposób transponowania jej na ekran stanowi o istotnej wartości każdego filmu.

Autorowie filmów rysunkowych, nieskrępowani konwenansem artystycznym, lekceważą logikę i prawdopodobieństwo, przestrzeń i siłę ciężkości. Nic więc dziwnego, że Walt Disney sięgnął w końcu do krainy baśni. Jego „Królewna Śnieżka“ przez pewną dozę swoistego realizmu, przez swój happy end, przez tryumf dobra nad złem, stała się bardziej niż krótkometrażowe kreskówki, bliska i zrozumiała dla szerokich mas publiczności.

Jednak prawdziwa wartość tego filmu tkwi przedewszystkiem w tem, co stanowi piękno i istotę filmu rysunkowego: w doskonałej kompozycji rytmów wizualnych, które tworzą prawdziwą „symfonję optyczną“ o niezastąpionych walorach czysto kinowych. Zarówno w dziedzinie efektów optycznych jak i akustycznych film rysunkowy może więc stać się cennym drogowskazem dla wielu reżyserów i operatorów kinowych. Zawiera on w sobie ową wciąż jeszcze nieuchwytną i dla niewielu dostępną tajemnicę, która wyodrębnia sztukę filmową spośród innych dziedzin sztuki. Uczy zresztą i tej znanej prawdy, że oświetlenie i perspektywa, umiejętne operowanie ruchliwością kamery i modelu, przedewszystkiem zaś — dobry montaż, dają w kinie zawsze więcej niż najlepiej odtworzona rzeczywistość. Dlatego też przygody ożywionych form, które śledzimy w filmie rysunkowym, są ciekawą i ważną zdobyczą kinematografji dzisiejszej.

IGNACY FIK

MORALNOŚĆ I SZTUKA

— Wybraliśmy zły temat. Już sto razy ograny i pozatem rozstrzygnięty.

— Rozstrzygnięty? Przez kogo? Czy wogóle może być rozstrzygnięty?

— W szczegółach zapewne nie, ale w zasadzie — tak. Trudno wyrazić sprawę słuszniej i prościej niż zrobił to Joyce: „Dzieło sztuki może mieć i ma następstwa moralne, ale żądać moralnych celów od artysty, znaczy psuć jego powołanie“. Kto nie chce samobójstwa sztuki, a w najlepszym razie jej niewoli, nie może pozwolić na odebranie jej autonomji. Sztuka musi być niezależna. Toteż jakakolwiek dyktatura, szczególnie zaś dyktatura moralności, podcina rację bytu sztuki.

— ...której przeznaczeniem jest —

— Owszem dokończę: być manifestacją absolutnej wolności człowieka.

— Powrót do przybyszewszczyzny?

— Może, ale równocześnie do prawdziwych źródeł sztuki!

— I do beznadziejnego sporu o sens wolności.

— Wcale nie tak beznadziejnego, zwłaszcza, jeśli nie będziemy rozważać go w abstrakcji, ale w funkcjonalnym związku z istotą sztuki. To zaś oznacza odwagę i umiejętność wypowiedzenia przez autora prawdy wewnętrznej. Żeby zaś uprzedzić pytanie piłatowe, powiem — ta prawda, to niczem niezafałszowana suma rewelacyj o sobie samym, o swem jedynem i niepowtarzalnem Ja.

— Bardzo skrajny indywidualizm!

— Niech i tak będzie, ale równocześnie wielka zasługa społeczna.

— Aż tak?

— Nie boję się pozornego paradoksu. Twórczość, która chce mnożyć rzeczywistość, nie może tego robić inaczej, jak „przez wyzwolenie, spowiedź, przez głęboko pojętą metodę autobiografji. Kto siebie wyzwala, wzwyża, oczyszcza, przeistacza i procesy te zaświadcza rzetelną pracą, dociekliwą żądzą autentyzmu — ten już spełnia czyn społeczny“.*)

— W rozumowaniu liberalizmu —

— Wiem co chcesz powiedzieć. Chcesz moje wywody zdeterminować ramami pewnego światopoglądu, który wyrósł z pewnej rzeczywistości ustrojowo-społecznej. Pozwól, że cię uprzedzę. Liberalizm — dobrze! Ale w takim razie sztuka może istnieć tylko w ustroju liberalnym! Zresztą przypomnę ci słowa Lassale'a: „Najbardziej rewolucyjnym czynem jest powiedzieć to co jest“. Uważam to zdanie za wielką prawdę, która patronować powinna przedewszystkiem sztuce.

— O ile nie będzie nadużyta, do czego się bardzo nadaje, prowadząc twórczość na grząskie manowce. Do najbanalniejszego naturalizmu, niepotrzebnego gadulstwa i obrzydliwego plotkarstwa.

— Tak jest, gdy pisarz ogranicza się do powierzchownego reportażu lub równie powierzchownej introspekcji. Ale prawdziwa psychoanaliza dotrzeć ma do najgłębszego rdzenia istoty biologicznej człowieka, nietkniętej przez żadne deformacje zewnętrzne. Ideałem jest, aby pisarz „w chwilach introspekcji i demaskacji brutalnej stawał przed sobą nie nagi już, ale ołupiony z wszystkich skór, człowiek obrzydły, człowiek czerwony, pocący się krwią“. Niech „stoi czerwony, mięśniowy preparat anatomiczny, obnażony z wszelkiego kontaktu z dziejami“. „Pisarstwo to autentyzm, odkłamywanie wszelkich zjawisk indywidualnego i społecznego życia aż po ich podskórną nagość... lub... szkielet. W takim autentyźmie leży coś więcej, niż realizm czy t. zw. prawdwa — autentyzm ten to problem przyczyn“.

— Jakich przyczyn?

— Przyczyn z samego dna! Bo takie tylko przyczyny są istotne i wyjaśniające. Śledząc za niemi trzeba dojść do epoki, „gdy mózg był już tylko purpurowym reflektorem rzucającym odblask pożogi w wszechświat, trza zejść w czasy genezyjskie, trza zejść ku rzeczom wcześniejszym niż mózg, niż pamięć, niż świadomość“.

— Czyli postaremu: naga dusza.

— Do licha! ty ciągle — stare i stare! Rzeczy wieczne nie są stare, one ciągle żyją, ciągle są młode, ciągle są obecne i działające.

— Zgoda, ale nie o to jest spór. Chodzi o to, czy trzeba ku nim ustawicznie schodzić, być im wiernym, wierzyć w ich autorytet, nadawać im decydujące akcenty. Czy są ważniejsze niż wszystko to, co po nich przybyło.

Dla mnie niema dwóch zdań — jako artysty — co jest ważniejsze. Ważne jest to mianowicie, co jest nurtem przepływającym przez wszystkie istoty ludzkie. Sztuka tworzy dla wieczności, więc tworzyć musi z materjałów wiecznych. Z tej perspektywy każda moralność jest sztuczną konstrukcją, która ma ujarzmić człowieka wolnego, człowieka wiecznego. Zrywać te schematy — kajdany, umieć je burzyć — oto nieodzowny „ułamek regulaminu rewolucyjnego“, któremu wierne powinno być każde dzieło sztuki. Twórcza działalność sztuki musi być „szarganiem świętości narodowych“, bo też ta „świętość“ to zawsze „marazm, skostnienie, truchło tradycji“. Dobra książka, to nic innego, jak „wysmaganie przeszłości, dezawuacja zakłamań“. Nie zgadzasz się?

— Mieszasz rzeczy słuszne z niesłusznemi. Więc przedewszystkiem samą koncepcję człowieka wolnego, niewinnego i prawdziwego uważam za bardzo szkodliwy mit. Nigdy nie było czystego człowieka biologicznego. Żaden kształt społeczny człowieka nie może być oddzielony od człowieka, jak niedopasowane ubranie. Środowisko społeczne działa chemicznie. Modyfikuje, przekształca — ale równocześnie buduje strukturę organizmowi, bez której nie mógłby realizować procesów życiowych. Toteż nie drogą eliminowania działań tych sił, ale drogą odpowiedniego ich doboru — ratujemy pozytywny sens życia. Zrzucając jeden kształt, musimy mieć w pogotowiu inny, lepszy.

— Który za chwilę znowu odrzucimy! Jednak wychodzi na moje — zdarte ubrania!

— Wcale nie! Systemy moralne, systemy praw i ocen moralnych są tworem określonych warunków społeczno-cywilizacyjnych — i to ma na myśli socjalizm, mówiąc o duchowej nadbudowie kultur. I odrazu trzeba dodać tylko to! Ale poza systemami moralnemi, dowolnemi i zmiennemi, istnieje stała dyspozycja moralna, której geneza jest przedhistoryczna. Człowiek powstawał długo. Miljony lat. Okres feudalizmu czy kapitalizmu jest tylko jednym dniem w dziejach tworzenia się ludzkiej istoty moralnej.

— Więc i ty dochodzisz do mego absolutnego człowieka.

— Bynajmniej. To co nazywam istotą moralną nie istnieje dla mnie realnie jako czysta postać. Jest to tylko kategorja, wyznaczająca miejsce na pewne treści psychiczne. Jej realizacja wynika z każdorazowej sytuacji społecznej. Opozycja przeciw moralności skierowana być może jedynie przeciw pewnym formatom i układom treści, nigdy zaś przeciw samej zasadzie jej istnienia.

— W każdym razie wynika z twoich wywodów, że moralność nie jest domeną autonomiczną. Uzależnia się od charakteru przypadkowych grup społecznych i im oddana zostaje w służbę.

— Nie jest tak prymitywnie. Oczywiście moralność jest funkcją stosunków społecznych. Tak nas poucza doświadczenie historji. Ale jest także czemś innem. Określając jej teren nazwałbym ją rzeczywistością społeczną zorganizowaną w elementach psychicznych. Moralność jest organicznym pomostem między żywiołem jednostkowym a społecznym. Efektem jej jest osobowość ludzka, w której te dwie strony utożsamiają się z sobą. Przeciwstawić tej syntezie można mechanistyczny dualizm: bezkierunkowej samowoli indywiduum i sztywnych ram prawa kolektywu, który z zewnątrz narzuca swe normy.

— Jak z tem wszystkiem powiążesz sztukę?

— Bardzo ściśle. Z mych wywodów wynika, że zasadniczym problemem człowieka świadomego jest zagadnienie budowy własnej osobowości. Zacząć się musi ta sprawa od wprowadzenia materji socjalnej w definicje psychologiczne. Komuż powierzyć to zadanie? Prawodawstwu, nauce, wychowaniu? Zgoda! ale te chcą przyjść do gotowego. Mogą działać w terenie odkrytym. Przeprowadzenie samego procesu aneksji przypaść musi komuś, kto operuje metodami bardziej subtelnemi, bardziej intuitywnemi. Poprostu — sztuce!

— Nie godziłbyś się więc z wyżej cytowanym Joycem?

— Nie! Raczej odwróciłbym to zdanie. Skutki sztuki mogą być niemoralne, cel natomiast określony powinien być kategorją moralną. Każde wielkie dzieło sztuki miało ten charakter i było wielkie dzięki takiemu zdeterminowaniu.

— Nie bardzo! Wielcy twórcy najczęściej spotykali się z zarzutem deprawowania.

— Tylko dlatego, że rozsadzali złą, panującą moralność. Bo moralność nie znaczy: tkwić w miejscu, asymilować się z sytuacją zastaną, iść za większością. Moralność ujawnia wolę życia, które nie chce wegetować, ale pragnie kwitnąć i owocować. Instynkt moralny, to nie: przetrwać i przeczekać, ale: ujrzeć nową możliwość doskonalszą, iść ku niej...

— Zatem i burzyć —

— Jest także burzenie. Ale nie w imię likwidacji moralności wogóle. Kto nie pragnie i nie przeczuwa nowej, ten nie może być usprawiedliwiony w swej negatywnej robocie. Stąd w moralności tkwi silny element poznawczy i woluntarny. Moralność jest urzeczywistnieniem wyczutych jako określone wartości — celów. Temperament i uczucie mają mniej do gadania.

— Zato bardzo wiele — w sztuce!

— Mniej niż się zdaje. Emocje, nastroje i wzruszenia są tylko materjałem w sztuce. By zostały przerobione na wartości artystyczne, muszą być poddane pewnej porządkującej je dyscyplinie. Skąd zaś brać kierujące niemi dominanty? Myślę, że wynikać one mogą jedynie z ogólnych wytycznych postawy moralnej zajętej wobec rzeczywistości. Będą zaś niemi: przyjęte ideały, narzucone sobie hamulce wewnętrzne, przyswojone cnoty, dojrzane perspektywy.

— Powiedział A. Huxley: „Im wyżej stoi sztuka, tem niżej moralność“. Wydaje mi się to spostrzeżenie w dużej mierze słuszne. Argumentem może być wiek XIX, w którym moralność przeżyła wielki kryzys, sztuka zaś jest godna podziwu.

— Powiedzenie Huxley'a może znaczyć: w okresie upadku moralności jako wartość zastępcza pozostaje sztuka. Pozatem uparłbym się, że XIX wiek niewiele zrobił nietylko dla moralności ale także dla sztuki. Przez rozdział tych dziedzin doprowadził obie do upadku. Wiek XIX żywił się szczątkami moralności feudalnej, traktując ją zresztą jako narzędzie swych imperjalistycznych celów. Pozatem wolał moralność opisywać, niż się nią wiązać. A sztuka? Patrz na dziedzictwo przekazane wiekowi następnemu. Architektura — secesja, plastyka — impresjonistyczny naturalizm, poezja — dadaizm i futuryzm, dramat — kabaret, muzyka — jazz. I w moralności i w sztuce robiono, jak kto chciał. Zepsuto jedno i drugie. Jedno i drugie oderwano od mas.

— Niestety, ta moralność i ta sztuka, którą próbuje dać masom wiek XX, nie wydają mi się czemś lepszem od amoralizmu wieku XIX. Moralność jest brutalniejsza, sztuka — głupsza.

— Powiedziałeś: daje się masom! W tem cały szkopuł, że — daje się. Totalistyczne recepty chorują na to samo rozdarcie co liberalizm. Toteż z innej strony czekać trzeba na ratunek.

— Wierzysz w samorództwo mas? W moralność i twórczość chłopa i robotnika?

— Widzę już konsekwencje wejścia tych klas w działania kulturalne. Obserwować je można choćby na terenie literatury związanej ideowo z ich problematyką. Nowa socjalnie i artystycznie literatura wnosi nową postawę moralną. Wyliczmy choćby parę nazwisk z naszej literatury socjalistycznej. Powieść Kruczkowskiego czy Czuchnowskiego, poezje Piwowara, Przybiosia czy Wita to już nie dawna literatura protestu, opozycji, rozpaczy, ucieczki i męczeństwa. To męskie odkrywanie nowego lądu, wyłaniającego się spośród gnijących bagien mieszczańskiego amoralizmu. Wielka epoka ludzkości zacznie się, gdy ukażą się zręby nowej moralności. Dziś, kiedy po przeciwnej stronie wróg uznał za stosowne wystąpić bez przyłbicy, w swej wyraźnej szczerości żarłocznej bestji, której chodzi tylko o łup, z naszej strony pojawić się musi pozytywny kształt człowieka. Bo po tamtej stronie są same negacje. I równie samorzutnie objawi się nowa sztuka. Towarzyszyć ona będzie temu człowiekowi od momentu jego narodzin, poprzez etapy tragicznych zmagań o swój sens, aż do momentu, kiedy człowiek ujrzy się zwycięskim twórcą swych losów.

Bardzo to pięknie brzmi: towarzyszyć człowiekowi tworzącemu. Ale gdzie tworzącemu się? Czy nie w duszy samego autora? A jeśli tak, to czy nie wyjdzie na moje: opowiadać siebie wiernie i odważnie? Rejestrować wszystko na co się natrafiło w swej wędrówce poomacku?

— Gromadzenie materjału! Owszem, z tem jednak zastrzeżeniem, że to zamało. Istota twórczości polega na budowie. Komuż poruczyć to zadanie? czytelnikowi? Czemuż nie pisarzowi? Spowiedź pisarza! zgoda! ale zostawić ten przywilej tym, którzy nie będą się spowiadać jedynie z nędzy, niepokoju, niedojrzałości — ale z dokonań i wielkości. Dlaczego udawać, że od sztuki i literatury nie czekamy jednego: nauki pełnego życia. Jeśli odcyfrowuję wiersz awangardowy, czego oczekuję? Chcę jeszcze inaczej ujrzeć świat, podwoić rzeczywistość. Jeśli czytam proste, nieporadne pamiętniki tych, którym najciężej los się ułożył, czegóż chcę? Chcę solidarności i braterstwa w odczuwaniu trudów walki i tryumfu przyszłego zwycięstwa. Chcę życia trudnego, świadomego i opanowanego.

— Chcesz wiernej, autentycznej prawdy!

— Nie wiem co to jest absolutna prawda. Prawda sztuki nie jest rzeczywistością przyrodniczą czy matematyczną. Jest interpretacją, wartością, czynnikiem selekcji. Prawda jest moją własną budową. Jest zdobyczą i osiągnięciem. To etap końcowy, nie punkt wyjścia. Za prawdę muszę być gotów oddać życie, bo ona jest jego rdzeniem i sensem. Moralność nie płynie z morału, z oburzenia i protestu, ale z dorastania pisarza do własnej osobowości. I z szacunku do cudzej osobowości, z zachwytu nie tyle nad jej faktem, ile nad jej pozytywnym kształtem. Z tytułów trzech książek Malraux możnaby zbudować postulat dla sztuki: towarzyszyć „doli człowieczej“ w jej postępie „z czasów pogardy“ na „drogę królewską“. I chciałbym zakończyć sentencjami Malraux: „Człowiek nigdy z siebie nie pozna nic prócz swej woli“. — „Życie jest możliwością, trzeba więc zdawać sobie sprawę z tego, co się z tej możliwości robi“. — Najgroźniejszego swego wroga, własne załamanie się i bankructwo swego życia, będzie teraz zwalczał w duszy każdego z swych ludzi“. Chciejmy skierować te słowa pod adresem artysty!

*) Cytaty w cudzysłowach pochodzą z ostatniej powieści Zegadłowicza.

TYTAN

Teodor Dreiser. Tytan. Warszawa, „Płomień“, 1938.

Olbrzymie miasto tłumów, przewalających się burzliwą falą szerokiemi, wielkomiejskiemi ulicami, ruchliwy twór najnowszych czasów, tytan pulsujący życiem i krwią. Olbrzymie miasto, gigant, tętniący od wspaniałych aut, tramwajów, uginający kornie swój grunt pod ciężarem domów-pałaców, domów-cacek, gigant dający schronienie ludziom, którym gdzieśkiedyś powinęła się noga. Tytan, pozwalający rozwinąć się największym zdolnościom, zabłysnąć olbrzymim talentom, pozwalający żyć miernotom, rozwijać się namiętnościom, najniższym instynktom, najpiękniejszym ideałom, miasto blasku i nędzy, miasto, w którem łatwo — gdy się tego pragnie — zgubić się, ukryć w miljonowej rzeszy, lub nad nią panować.

Ten tytan — to Chicago. Marzenie obieżyświatów, miasto zaspokojonych snów i ambicyj. „Tutaj schodziły się zdumiony Zachód i ufny Wschód i patrzały. Tutaj głodni mężczyźni, zbiegający się z warsztatów i pól, marzący o idyllach i bajkach, budowali królestwo, które z błota wzniosło się do największego blasku“. Przybyli tu ludzie żądni i głodni chleba, sławy, wielkości, przygód, gdzieś nieznani i biedni, przybyli, by zdobyć jutro. Oto religja Chicago. Przybyli ludzie o nieznanej przeszłości, by zdobyć przyszłość.

Wśród symfonji męczącego hałasu i ruchu, tylu nieznanych i obcych twarzy, postaci nic nieznaczących, należących do jednostek zgubionych w masie, wśród neonów i oślepiających, barwnych wystaw najpiękniejszych magazynów świata, nagle spotykamy sylwetkę mężczyzny, którego znamy: Frank Cowperwood, znany nam „Finansista“.

Frank woli, jak wielu w Chicago, by go nie pytano, co było przedtem. Potknął się, ale nie upadł, zachwiał się, ale oto kiedy go spotykamy, pnie się znowu po chybotliwej, niepewnej drabinie społecznej. Fabuła powieści płynie powolnym, rozlewnym nurtem, rozbija się na dwa ramiona, z których jedno bieży szybciej i żywiej, oto erotyczne przeżycia bohatera, drugie płynie do innego brzegu: pieniądze, sfera wielkich interesów kapitalistycznych .

Dwa prądy rozbijają powieść na dwie części. Jedna, w której Frank zdobywa i opanowuje finansjerę chicagowską, drugą, mniej ciekawą, bardziej codzienną. Takie bowiem miłostki spotykamy w książkach dzień w dzień. Taką zazdrość i taką zdradę. Wszystkie ukochane Franka, to kobiety piękne, bo tylko takie potrafią go porwać, tylko piękność potrafi nim wstrząsnąć, a że te kobiety, z wyjątkiem jednej, są głupie, płytkie i często bezduszne, rzadko sam spostrzega.

Nie zajmuje nas także Polka — Antonina Nowak, ale ona jedna nas wzrusza i tem usprawiedliwia swe prawo do życia w powieści Dreisera. Jeden jedyny raz jej smutna twarzyczka spojrzała na nas z kart książki, ale ten krótki moment zbliżył ją do nas, uczynił niezapomnianą do końca. Młodziutka, jedyna przekonywająca ofiara zachłannego, brutalnego mężczyzny. Wszystkie inne — to tylko malownicze tło dla działań zdolnego finansisty. Nie pozostały one bez wpływu na te działania, ale tylko o tyle, o ile często wpływa na to zła lub dobra pogoda.

Żadna z nich nie usprawiedliwia zdrady małżeńskiej, ani Rita Sohlberg, ani Stefanja Platow, otaczająca się licznymi przyjaciółmi, ani mnóstwo tych przygodnych ofiar. Nikt też ich nie żałuje, nie lituje się i nie wzrusza ich losem. Ale to wszystko jest mało ważne. To tylko dopływ wielkiej rzeki. To tylko kąty życia Franka. Swoją energję zużywał inaczej.

Dreiser zręcznie wprowadził nas w świat finansów. Biura, urzędy, walka konkurencyjna, szpalty dzienników. Wszystko tu można kupić za pieniądze. Ale nie tylko za nie, nietylko one wystarczą, pieniędzy trzeba umieć używać. Trzeba dużo zręczności, sprytu, giętkiego, wygimnastykowanego umysłu. Kiedy się posiada to wszystko, zdobywa się stanowisko, możność spełniania wszystkich zachcianek, panowania nad Chicago, możność rządu nad prasą. Zdobyć to panowanie, oto był cel Franka Cowperwooda, natychmiast po wyjściu z więzienia w Filadelfji. Wypłynął w Chicago i w krótkim czasie zbudził burzę zainteresowania, podziwu i sprzeciwu. Wylądował na pewnym, stałym brzegu.

Nie wspomniałam o towarzyszce zmagań Franka. Choć Aileen znamy najdłużej, nie wzbudza w nas ani sympatji, ani antypatji, raczej niesmak i śmieszność. Zapomina się łatwo, co poświęciła swej miłości, zostaje obraz próżnej, kapryśnej kobiety, niezbyt opanowanej, trochę zbyt krzykliwej, wkońcu niezdolnej inteligetnie rozprawić się z swoją obrażoną dumą i zazdrością, nie umiejącej zdobyć się na załatwienie przykrego problemu na platformie porozumienia lub na znalezienie innego, godnego wyjścia z sytuacji.

Powieść urywa się, kiedy się tego najmniej spodziewamy. Można z tego wnioskować, że jak nie skończyło się na „Finansiście“, nie skończy się i na „Tytanie“, że jeszcze spotkamy Franka Cowperwooda wśród nowej walki, nowych przedsięwzięć, lub opanowanego nowem, płomiennem uczuciem.

Ludwika Obrowiczówna

JÓZEF LUBOJAŃSKI

WALKA UCZONYCH O ŚLĄSK

Jednym z najmniej znanych fragmentów stosunków polsko-niemieckich, powiedzmy wyraźnie: walki polsko-niemieckiej, jest zawzięty spór uczonych polskich z nauką niemiecką o przeszłość historyczną Śląska i o jego dzisiejszy charakter etnograficzny. Spór ten początkami sięga czasów przedwojennych, kiedy niejeden uczony polski, znalazłszy się — często przypadkiem — na Śląsku stawał olśniony najautentyczniejszą polskością tej ziemi. Nauka niemiecka, strzegąca zazdrośnie swoich dogmatów o niemieckości Śląska, ostro reagowała na wystąpienia polskich uczonych, wykazujących zdumionej opinji, że na Śląsku żyje lud polski, mówiący najpiękniejszą polską gwarą, strzegący pilnie polskiego obyczaju. Wszystko to dla ówczesnego społeczeństwa polskiego było rewelacją. W społeczeństwie polskiem przywykłem myśleć kategorjami szlacheckiemi, wciąż jeszcze pokutowało przekonanie, że granicę polskości stanowi miedza ostatniego folwarku szlacheckiego. Ponieważ zaś na Śląsku polskiej szlachty oddawna już nie było, więc uważano tę ziemię za bezpowrotnie straconą dla Polski. Chłop i robotnik śląski mieli sprawić tej opinji polskiej niespodziankę...

Pierwsze przedwojenne starcia uczonych polskich z niemieckimi profesorami na temat polskości Śląska, to były luźne partyzantki. Prawdziwa wojna — wojna pozycyjna — zaczęła się po 1920 r., gdy niemiecka propaganda rewizjonistyczna zwróciła się do nauki niemieckiej z zamówieniem naukowych argumentów do udowodnienia tezy, że Śląsk był i jest niemiecki. Trzeba objektywnie stwierdzić, że część uczonych niemieckich pozostała wierna dawnym tradycjom nauki niemieckiej, której nie można było odmówić solidności. Ci uczeni niemieccy nie poświęcili celów naukowych dla polityki i w badaniach przeszłości i teraźniejszości Śląska często znajdują wspólny język z uczonymi polskimi. Niestety, są to „białe kruki", a znaczna większość uczonych niemieckich, zwłaszcza młodej generacji, bez skrupułów poświęciła prawdę naukową dla celów propagandy rewizjonistycznej. W ten sposób powstała t. zw. „politische Wissenschaft" t. j. nauka, będąca na usługach polityki. Doktryna hitlerowska, podporządkowująca naukę zadaniom państwa narodowo-socjalistycznego, sprawiła, że uczeni niemieccy nie trudzą się dziś zbytnio ukrywaniem politycznych celów swojej pracy naukowej. Zadania polityczne wpływają nie tylko na cele tej nauki, ale także na metody i wyniki badań uczonych niemieckich, poświęconych zagadnieniom śląskim.

Ta „naukowa wojna" jest prowadzona na całym froncie polsko-niemieckim — od naszego brzegu morskiego aż po granice Śląska. Główne jednak ataki nauki niemieckiej skierowane są przedewszystkiem na Śląsk. Na tej zapomnianej ziemi polskiej, przed sześciu wiekami oderwanej od Polski, pozycje germanizmu wydawały się najmocniejsze, a polskość najbardziej zachwiana.

Wszystko tu jest — zdaniem nauki niemieckiej — sporne: począwszy od geograficznej nazwy Śląska, a skończywszy na czaszkach Ślązaków. Uczeni niemieccy nazwę Śląska wyprowadzają od szczepu germańskiego Silingów, którzy w pierwszych wiekach po Chrystusie mieli przybyć na Śląsk środkowy z duńskiej wyspy Zelandji. Nasi językoznawcy natomiast twierdzą, że nazwa Śląska pochodzi od nazwy śląskiej rzeki Ślęzy, podobnie jak nazwa Wiślan pochodzi od Wisły. Równocześnie nauka polska wskazuje na wybitnie polski źródłosłów Ślęzy. Wspomniałem o czaszkach. W epoce rasizmu antropologja, zwłaszcza zaś frenologja, cieszą się szczególną wziętością. Nic dziwnego, że zainteresowano się także budową czaszek mieszkańców Śląska. Zarówno polscy jak niemieccy uczeni przeprowadzają na Śląsku pomiary antropologiczne, starając się wyciągnąć stąd wnioski o rasowej i narodowościowej przynależności mieszkańców Śląska.

Do polsko-niemieckiej batalji naukowej wciągnięto wszystkie nieomal rodzaje broni naukowej, od geografji i historji poprzez archeologję, językoznawstwo, antropologję, statystykę aż do botaniki.

Szczególnie doniosłe znaczenie nauka niemiecka przypisuje badaniom archeologicznym sądząc, że w okrytej mrokami tajemnicy prehistorji znajdzie więcej argumentów przemawiających za niemieckością Śląska, niż w czasach historycznych, które na każdym kroku dają świadectwo polskości tej ziemi. Prehistorja niemiecka zmierza do udowodnienia tezy, że w ostatnich wiekach przed Chrystusem oraz w pierwszych wiekach po Chrystusie ziemie śląskie były zamieszkane przez plemiona germańskie, zwłaszcza przez Wandalów. Nauka niemiecka chciałaby w jak najpóźniejszych czasach umieścić moment, w którym na ziemiach śląskich zjawili się Słowianie. Najnowsze odkrycia archeologiczne poważnie osłabiają tezę niemieckiej archeologji. Mnożące się odkrycia archeologiczne pozwalają na stwierdzenie osadnictwa słowiańskiego na Śląsku w czasach coraz wcześniejszych. Duże zasługi w tych badaniach ma zwłaszcza prof. Józef Kostrzewski. Wykrywane coraz częściej przez naukę polską podobieństwa między t. zw. kulturą wandalską a kulturą łużycką czynią bardzo prawdopodobną hipotezę, że plemiona, zamieszkałe na Śląsku w pierwszych wiekach naszej ery, które nauka niemiecka uważa za Wandalów, są w rzeczywistości potomkami ludu kultury łużyckiej. Jeżeli chodzi o te ostatnie badania, to szczególnie doniosłe znaczenie miały tu prace prof. Leona Kozłowskiego.

Osobną kartę stanowi walka językoznawców polskich z twierdzeniami publicystyki niemieckiej, a ostatnio także nauki niemieckiej, o język ludności śląskiej. Dla każdego, kto choćby raz był na Śląsku i przysłuchiwał się gwarze śląskiej, sprawa ta nie przedstawia oczywiście żadnych wątpliwości. Tem jaśniej się okazuje jak bardzo polityka może wypaczyć badania naukowe.

Cokolwiekby się sądziło o przedwojennych statystykach niemieckich, objektywnie trzeba stwierdzić, że dawały one naogół wyniki cyfrowe zgodne z rzeczywistością. Pod tym względem statystyki przedwojenne przewyższały znacznie dzisiejsze. Nieprzyjemną dla siebie wymowę wyników cyfrowych Niemcy próbowali łogodzić i fałszować innemi sposobami. A wymowa tych wyników była dla Niemców bardzo przykra, jeżeli np. spis ludności z r. 1910 dawał dla dzisiejszego niemieckiego Śląska większość polską 61 proc., jeśli według tego samego spisu w powiecie opolskim większość polska wynosiła 78.25 proc. Niedwuznaczną wymowę tych wyników próbowano złagodzić przez wprowadzenie rubryki t. zw. dwujęzycznych, która — rzecz jasna — obejmowała tylko Polaków. Ale i to jeszcze nie wystarczało. Wtedy to pojawiła się owa bajeczka publicystyki niemieckiej, podjęta przez niektórych uczonych podlejszego sortymentu, o odrębnych narodach Mazurów, Kaschubów i Wasserpolaków czyli Slonsaków.

Szczególnie uporczywie twierdzili Niemcy, że Ślązacy nie stanowią części narodu polskiego, a język Ślązaków czyli t. zw. „wasserpolnisch" jest odrębnym językiem, nie mającym z polskim nic wspólnego. Nazwa „Wasserpolen" była w północnych Niemczech znana oddawna; nazywano nią flisaków śląskich, którzy Odrą spławiali drzewo do morza. Poczciwym mieszczuchom frankfurckim, którzy nazywali tak flisaków śląskich, mówiących niezrozumiałym dla nich językiem słowiańskim, ani się śniło, że odkryli nowy naród i nowy język. Trzeba zapisać na dobro przedwojennej nauki niemieckiej, że nie brała tej śmiesznej tezy serjo. Posługiwali się nią tylko publicyści i dzeinnikarze.

Niestety, po wojnie znaleźli się przedstawiciele oficjalnej nauki niemieckiej, którzy tej propagandowej bajeczce usiłują nadać pozory tezy naukowej (Stratil-Sauer, Otto Boelitz). Przedstawiciel oficjalnej nauki niemieckiej, dr. Stratil-Sauer dochodzi do wniosku, że badając język ludności śląskiej „odnosi się raczej wrażenie spolonizowanego języka niemieckiego, niż zgermanizowanego polskiego".

Badania polskich językoznawców, zapoczątkowane na Śląsku przez Malinowskiego, kontynuowane przez Bystronia, Taszyckiego, zwłaszcza zaś przez prof. Nitscha, wykazały ponad wszelką wątpliwość, że język ludności śląskiej jest gwarą polską, wykazującą w dodatku stosunkowo najmniej odrębności.

Język ludności śląskiej wywołał także zainteresowanie uczonych czeskich (Szember, J. Poliwka, B. Havránek), a nawet uczonych w państwach zachodnio-europejskich (uczony holenderski M. Van Wijk).

Jakkolwiek więc teza nietyle nauki niemieckiej, co publicystyki niemieckiej, o odrębności narodowej Ślązaków nie da się utrzymać wobec krytyki naukowej, to jednak nie można zapominać, że twierdzenia takie rozszerzane zagranicą przez propagandę niemiecką, firmowane niekiedy znanemi w świecie naukowym nazwiskami, niemało przyczyniają się do wywołania w opinji zagranicznej zamieszania w poglądach na stosunki polsko-niemieckie. W województwie śląskiem poglądy takie stanowiły „teoretyczną" podstawę śląskiego ruchu separatystycznego Kustosa.

Nie omawiam tu powszechnie znanych sztuczek kartografji niemieckiej, uporczywie ignorującej granice Polski, ponieważ autorzy tych sztuczek sami zapewne nie mają pretensji do naukowości.

Atak nauki niemieckiej na polskość Śląska prowadzony jest z właściwą Niemcom systematycznością. Ośrodkiem tej akcji są specjalne instytuty z „Osteuropa-Institut" we Wrocławiu na czele. Odpór nauki polskiej był początkowo niezorganizowany. Na ataki niemieckie odpowiadali uczeni polscy tylko sporadycznie, co oczywiście osłabiało wyniki akcji nauki polskiej. Z biegiem czasu zaczęto jednak i u nas organizować wszechstronne badania naukowe, dotyczące zagadnień śląskich. Dużo na tem polu zdziałała Polska Akademja Umiejętności, która przy pomocy subsydjów Sejmu Śląskiego utworzyła specjalny Komitet Wydawnictw Śląskich P. A. U. Ogromne znaczenie ma zwłaszcza wydawana przez P. A. U. jako dzieło zbiorowe, „Historja Śląska", której nauka niemiecka nie może odmówić wysokiego poziomu naukowego i objektywizmu.

W roku 1934 powstał w Katowicach Instytut Śląski, w którym ma się ześrodkować działalność naukowa, dotycząca Śląska. Główne pozycje jego działalności obejmują akcję wydawniczą, organizowanie badań naukowych oraz informację naukową. Instytut Śląski może się już poszczycić pięknemi wynikami zwłaszcza w akcji wydawniczej, która naszą literaturę o Śląsku wzbogaciła o wiele bardzo cennych pozycyj (np. prace historyczne J. Feldmana). Spełniają też naogół swoje zadanie rozsyłane do prasy w celach informacyjnych komunikaty Instytutu Śląskiego, chociaż ich poziom jest nierówny. W jednym z komunikatów Instytutu (serja III, nr. 46) przeczytaliśmy reklamę dla narodowo-radykalnej „Kuźnicy" ekskuratora Z. N. P. p. Pawła Musioła, który po swoich warszawskich perypetjach stał się „gauleiterem" Bolesława Piaseckiego na Śląsk. Reklama ta wyszła spod pióra Alfreda Jesionowskiego. Sądzimy, że dyrekcja Instytutu Śląskiego w interesie poważnych zadań, które Instytut sobie postawił, powinna lepiej kontrolować elaboraty swoich współpracowników.

Powstają także w Katowicach pierwsze warsztaty pracy naukowej — dobrze rozwijające się Muzeum Śląskie oraz Bibljoteka Śląska im. Józefa Piłsudskiego. Wierzymy, że ostatnim etapem tych wysiłków, zmierzających do wzmocnienia pozycji nauki polskiej na Śląsku będzie utworzenie w Katowicach wyższej uczelni.

MARJAN PANKOWSKI

Tu mnie nawiedzaj

Tutaj cisza dojrzewa, właśnie w tej alei,
Tu sklepieniem obrzmiałem zwisa czarna [północ,
Klony śpiewu niesyte bladym liściem chwie- [ją,
Księżyc z międzykonarza wypływa, jak [czółno.

Tu mnie nawiedzaj zbłąkanego w ciszy,
Gdy pod korą bunt gaśnie, ucisza się miazga.
Jak smutnie w łęziach ptaki dniem zmęczo- [ne dyszą.
Pójdź! Zapomnimy siebie w tęsknocie i [gwiazdach.

JERZY SARNY

* * *

Rozważam dawno zapomniane pory,
Z znużonem sercem, nim poznałem sławę,
I mówię sercu: czem jest dzień jaskrawy,
Gdy tylko ciemność syci twą samotność?
I sława cóż jest? Tylko rozgrzeszeniem
Z największej winy: że jesteśmy obcy.
Ach, kto mnie urzekł i jak to się stało,
Żem wszystkich szlaków zapomniał powrot- [nych
I tylko płynąc, śród snów, jak po fali,
Wydarty światu, daleki od brzegu,
Kamiennem okiem przynaglałem świty!
Pamiętam wieczór, na przedmieściu ciężkiem
Od gwiazd lecących i ciemnem od wichru:
Śród szeptów malców, zagubionych w bra- [mach,
I wołań matek na spóźnione dzieci,
Podniosłem oczy, zdziwione, jak zwierzę,
I drżąc, poznałem po raz pierwszy, gorzki
Smak łez wylanych nad nieludzką rzeczą.
Wszystko się tamtej dokonało chwili.
Reszta jest tylko snem i wspominaniem.
Minęło tysiąc moich nowych twarzy
I wraz z latami wszystkie za mną płyną
Po morzach nocy jak flotylle cieniów.
Rozważam długo te umarłe pory.
I mówię sercu: jakżeś było smutne.
Umarłoś dawno. Jeno płacz pamiętam,
Jak plusk kamienia, rzuconego w wodę.

Warszawski sezon teatralny

Po Einsteinie i Freudzie, skolei w „*Temperamentach*" zajął się Cwojdziński Kretschmerem: nowa jego sztuka, to wykład psychologji konstytucjonalnej. Wykład, jak zawsze, jasny i skrupulatny, a co ważniejsza — przeprowadzony z temperamentem, humorem i świetnem wyczuciem sceny. Trochę w tem może za wiele bezkrytycznej gorliwości apostoła, tem bardziej, że i sam Kretschmer nie jest zbyt przekonywający; możnaby się z nim posprzeczać zarówno wtedy, gdy żongluje niesprawdzalnym i podejrzanym argumentem budowy ciała świętych pańskich, jak i wtedy, gdy za Lombrosem (z którym zresztą wiele ma wspólnego) skutek bierze za przyczynę (tak Lombroso tworzył teorję o „ponurem wejrzeniu" zbrodniarza urodzonego, na podstawie obserwacji więziennej recydywistów).

Cwojdziński traktuje utwór jak broszurę popularyzacyjną; ale broszura przedstawia tylko czytelnikowi koncepcję naukową, gdy sztuka każe mu wierzyć w jej słuszność, nie dając jej żadnej przeciwwagi, ani krytycznej oceny. (Gdybym był Irzykowskim, żałowałbym pewnie, że w „Temperamentach" teorja Kretschmera ostatecznie nie bierze w łeb: zyskałaby na tem i sztuka i krytycyzm widza). Zresztą naukowa hipoteza — to nie fakt przyrodniczy; znaczenie takich koncepcyj, jak konstytucjonalizm, polega jedynie na ich przydatności. I tu chyba leży największe nieporozumienie, w jakie wpada Cwojdziński. Lombroso, Freud czy Kretschmer — wszystko to są pożywki literatury i prawdą jest, że to literatura je popularyzuje, wbudowując je do swoich wizyj świata; zawsze jednak pozostają one dla literatury aparatem, środkiem. Cwojdziński to przestawia: celem dla niego jest teorja, a życie służy tylko jako ekran projekcyjny. Toteż „Temperamenty" napisane są tak, by dać się wygadać nie Cwojdzińskiemu, lecz — Kretschmerowi; akcja prowadzona jest po linji jak najwszechstronniejszej demonstracji jego teorji. Przy końcu najlepszego (i doskonałego) I aktu wydaje się, iż autor, wyłożywszy widzowi ogólne zasady gry — przejdzie do gry samej, do budowy konfliktu z kretschmerowskich klocków; ale dalsze akty rozwijają tylko dalszy pokaz — i to pokaz kliniczny: bo czyste typy psychologji konstytucjonalnej znaleźć można właściwie tylko w sferze patologicznej, wskutek czego bohater Cwojdzińskiego, jak jego pierwowzór van Gogh, stoi już zdecydowanie po tamtej stronie psychicznej normalności. W rezultacie tedy widz dowiedział się, że jego charakter związany jest z budową czaszki, a okrągły brzuszek ma swój odpowiednik nie tylko w przyziemnych funkcjach właściciela handelku, lecz i w jego równie przyziemnym światopoglądzie, — i pozostaje mu tylko czekać na następny wykład (teorja kwantów? refleksologja? bombardowanie atomów?), — oby równie doskonale zagrany jak te „Temperamenty". A może jednak Cwojdziński porzuci już tę nieco standaryzowaną produkcję i napisze poprostu — tęgą i soczystą komedję, do czego jak niewielu chyba w Polsce pisarzy jest predestynowany?

Tej predestynacji nie widać jakoś u Iwaszkiewicza. Zdarza się nieraz, iż pisarz, któremu po pierwszej sztuce wytykano nieopanowanie scenicznego rzemiosła, w następnej stara się stłoczyć jak najwięcej tzw. „efektów scenicznych", w przekonaniu, że na nich właśnie to rzemiosło się opiera. Tak właśnie jest z „*Maskaradą*": dłużyzn, niedramatycznego wypowiadania się, braku jednolitej kompozycji dramatycznej nie uniknęła, — a upstrzona została efekcidłami całkiem mizernego nieraz gatunku, ciągnionemi czasem długo za uszy, gdy efekt — jak przy końcu II aktu — jakoś nie chce się ruszyć. W koncepcji Iwaszkiewicza Puszkin (bo o nim opowiada ta sztuka) miał być jakimś konglomeratem wielkości i pospolitości; ale wielkość uleciała wraz z mechanicznem cytowaniem wierszy, a został tylko biedny mulat w szlafroku, umierający niczem Mimi w Cyganerji. (Trudno też pojąć, czemu pojedynek z d'Anthesem odbywał się bez chirurga; skoro jednak autor wie, że tak było, i dopiero do łoża Puszkina sprowadza lekarza, — czemu już po jego orzeczeniu każe sekundantom zastanawiać się nad wezwaniem chirurga? Chybaż ten pierwszy nie był ginekologiem?). Co gorsza, z operetkowych już rekwizytów wyjęty jest Mikołaj i cały jego dwór; pomijając fałsz perspektywy, sprawa to o tyle niebłaha, że przecież osią sztuki jest konflikt między poezją, twórczością, — a władzą, państwem, régimem; konflikt, któremu akcja p. Hulewicza tyle dziś przydaje aktualności! Postawiwszy ten konflikt, konkluduje jednak Iwaszkiewicz filozoficznie, iż „niema takiego kraju, w którym mógłby żyć poeta". Otóż są jednak pewne różnice, — a te właśnie jego operetkowy Mikołaj zaciera. I wreszcie jedno jeszcze: pisarz tej kultury powinien był się chyba ustrzec od operowania „proroctwami zdołu", t. j. wkładanemi w usta Puszkina sentencjami na temat upadku caratu.

Niewiele mi już pozostaje miejsca na krotochwilę Ferdinanda „*Kupiec i poeta*", graną w Ateneum. Jakkolwiek i ta sztuka zajmuje się konfliktem poety i świata, nie rości sobie górnych pretensyj, a w końcowej apoteozie sklepikarskiego żywota głaszcze episjerskie gusta widza, dla którego w bulwarowym teatrzyku paryskim zapewne została poczęta. Szkoda, że gościnnie występujący tu Maszyński nie znalazł godnej siebie roli, tem bardziej, że cały zespół zestrojony był, jak zawsze, znakomicie.

Jerzy Pański

EMIL ZEGADŁOWICZ

Zaraza w Kopyniówce*)

W Kopyniówce dzieje się jak najgorzej.

Najpierw wybuchło to u Potocznych. Rozchorowała się matka, obie córki: Emilka i Marysia, oraz synowie: Staszek i Franek.

Bieda była u tych Potocznych, bieda nieprzebrana. Pięcioro tego na dwóch morgach leżących nad samą żnicą, więc „isep" piaszczystych, żmijowca i szczodrzeńca pełno — a wiadomo — te rośliny lubią chudą, kamienistą glebę. I podbiału moc!

Synowie i córki pracowali w papierni. Matka doglądała gospodarstwa. Ojciec, stary Potoczny, wyjechał, będzie temu z piętnaście lat, do Ameryki; od kilku lat znaku życia nie daje. Ani listów, ani dolarów; po prawdzie to i przedtem nie przysyłał pieniędzy; od czasu do czasu pięć dolarów; to wszystko.

A Potoczna wychowała dzieci. Mordęgą, obrywaniem się, postarzeniem przedwczesnem, chudością niedojedzoną i wypłowiałemi oczami; ale wychowała.

Synowie już mieli — Staszek czternaście, Franek szesnaście lat — córki były starsze: osiemnaście i dziewiętnaście.

Tylko Emilka pamiętała ojca; reszta nie pamiętała — bo i jakże? — Staszek urodził się nawet po wyjeździe ojca; sąsiedzi, a przedewszystkiem sąsiadki pomstowały, że Potoczny kobietę ciężarną opuszcza; ale on dbał o to tyle, co o zeszłoroczny śnieg. (Od jakiegoś czasu gadają tu, że się w tej Ameryce z młodą dziewczyną ożenił).

Cała czwórka pracowała w papierni — w tem najgorszem: w przebieraniu i segregowaniu szmat i tych świństw wszelkich, które w wagonach do fabryki dojeżdżały. Po otwarciu takiego wagonu — trzeba było uciekać i przeczekać za wiatrem, aż się przewieje smród okropny i czad fermentujących zgnilizn. A jednak rwali się ludzie do tej roboty — bo i zarobek — i to jeszcze: w hadrach, zdartych i zaropiałych szczątkach kamizelek, marynarek lub spodni znalazł się czasem jaki miedziak; gdy kto miał szczęście, to i piętnaście groszy dziennie zdołał wyłuskać z tej śmiertelnej grochowiny.

Od czasu zajęć w fabryce przewidniało nieco u Potocznych; ostatecznie można się już było jako-tako ubrać, zjeść też trochę lepiej, na sól było, na omastę; no — głodu już nie było.

Matka, która zaznała krwawej biedy i wieloletniej trwogi o zabiedzone dzieci — uważała, że łaska boska nawiedziła ich domostwo.

Aż tu nagle ta choroba.

U Potocznych się zaczęło. — Zaczęło się postękiwanie, że „na wnątrzu", pobolewaniem, polegiwaniem — aż krwią nabiegłe i nieprzytomne oczy zaświadczyły dobitnie, że jest całkowicie źle.

Pierwsza powiedziała mi o tem Stefanja. Już oddawna miała zwróconą uwagę na tę fabrykę. Nieraz też — teraz sobie to przypominam — mówiła: „to się źle skończy", „to się musi źle skończyć" — „to jest zbrodnia".

Tak jest — to była zbrodnia! Najoczywistsza zbrodnia!

— — — — — — — — — — — — — — —

Trudno mi pisać; poprostu nie mogę. Mąci mi się w myślach. Ręka — i cały — trzęsę się jak w febrze.

— — — — — — — — — — — — — — —

Wtedy (już tydzień minął od tego czasu) zaszedłem ze Stefanją do Potocznych. Chałupa ich stała niedaleko lepianki Kawy; więc już w przysiółku Młaczka Ruda.

Na podwórzu zastaliśmy lekarza powiatowego, jak tu się mówi: fizyka; mył ręce w cebrzyku.

Nie chciał nas wpuścić do chałupy. Perswadował — to zakaźne, dżuma czy ki cholera — djabli wiedzą skąd te szmaty; oczywiście, że to z tego. — Radzę nie wchodzić — zresztą wydam rozporządzenie — izolacja — kwarantanna zupełna — — a teraz karbol — — tu już niema ratunku —

W dławiącym zaduchu karbolu konało tych czworo młodych ludzi. Twarze nabiegłe krwią, napuchłe i czerwone jak upiór. Rzężenie — agonja. — W pośrodku izby siedziała na stołeczku (takim, jakiego się tu do dojenia używa) stara Potoczna; do żywego człowieka już nie podobna. Copochwila zaciskała węzeł chustki pod szyją. Nie płakała. Patrzała przed siebie. Trwała tak w tej strasznej muzyce zepsutych instrumentów ludzkich. Czworo dzieci traciła naraz. Straszne! Straszne!!

— — — — — — — — — — — — — — —

Umarli wszyscy. Emilja tylko na chwilę przed zgonem odzyskała przytomność. Uśmiechnęła się do Stefanji, która trzymała jej rozpaloną mokrą rękę w swej dłoni. Spojrzała na mnie i — widać — już się jej wszystko poprzestawiało i cofnęło w mymyślach — zapytała, czy niema listu od ojca z Ameryki. Z trudem wyszeptała:

— jakby nie przysłał, to złożę sobie pieniądze i pojadę do niego.

— — — — — — — — — — — — — — —

Umarła matka Kawy.

— — — — — — — — — — — — — — —

Nie mogę pisać. Boję się! — Bo przecież — bo przecież — — Stefanja leży od kilku dni nieprzytomna.

Pomagała. Ratowała. I teraz sama...

Umarł Kawa.
Umarło dwóch Płonków.
Umarła młoda Biedroniowa.
Umarł Żuk.
Umarł Pasterek.
Umarł Kaczmarczyk.
Umarł Koźbiał.
Umarło trzech Lipków.
Umarła ich siostra Kazia.
Umarł Konieczny.
Umarł Jucha.
Umarł Danik.
Wszyscy pracowali w fabryce papy.

— — — — — — — — — — — — — — —

Kilku przetrzymało chorobę.

Lekarz mówi, że kryzys u Stefanji minął.

Nie wiem.

Jest nieprzytomna. Nie poznaje mnie. Stefanjo!!!

— — — — — — — — — — — — — — —

Goślińscy wyjechali.

Kopyniówka otoczona jest drutem kolczastym.

U wylotu dróg stróżuje policja.

— — — — — — — — — — — — — — —

Pogrzeby! Wciąż!

Z okna widzę zbocze smętarne. W kilku miejscach widać kopiących groby. Gromadki ludzi stoją nad żółtemi mogiłami.

Brama smętarna naoścież otwarta.

Pogrzeby! Wciąż!

— — — — — — — — — — — — — — —

Stada wron i kawek. Obsiadły wszystkie drzewa. Krążą pomiędzy Kopyniówką i smętarzem.

Pozatem cicho. Cicho jak w domu umarłych. Cała Kopyniówka jest domem umarłych, straszącym wśród błot.

Psy umilkły.

Tylko ten straszny — wstrząsający — krzyk warjatki!

— — — — — — — — — — — — — — —

Stefanja odzyskała przytomność. Zmieniona nie do poznania. Wychudła. Twarz miała jak u dziewczynki.

Gdy poruszy ręką, dźwięczy łańcuszek; a taki luźny na piszczelu chudej ręki!

Wciąż się mnie pyta — kto chory — kto umarł — kto jeszcze zachorował —

Podają jej wodę z cytryną.

Mówi:

— martwe morze —

Prosi, żeby otworzyć okno.

Czuć superfosfat.

Szepce:

— gaz —

*) Fragment powieści p. t. „Martwe Morze" („Pamiętnik Jana w Oleju Zydla"), która ukaże się niebawem nakładem wydawnictwa F. Hoesicka.

SEWERYN POLLAK

„W poszukiwaniu utraconego czasu"

Jan Śpiewak. Wiersze stepowe. Warszawa, F. Hoesick, 1938: str. 38 i 2 nl.

Śpiewak nie jest poetą początkującym i debjut jego nalży raczej traktować jako zestawienie dorobku poetyckiego w chwili zamknięcia pewnego okresu twórczości i przechodzenia do okresu nowego — dojrzalszego. Jest więc ten szczupły tomik jakgdyby historją poetyckiego stawania się: stopniowego pogłębiania wartości duchowych, ideologicznych, a jednocześnie opanowywania strony formalnej wiersza. Lecz wybór wierszy, który miał o tem świadczyć, został dokonany pod specjalnym kątem widzenia. Łącznie z fragmentami poematu p. t. „Jesień", zamykającemi i dopełniającemi tom, stanowią one coś w rodzaju poetyckiego dokumentu, lirycznego pamiętnika dojrzewania. Powrót do dzieciństwa, poszukiwanie w niem usprawiedliwienia dla obecnego, stanu psychicznego, odsłanianie wpływów zewnętrznych, które warunkowały charakter już nietylko autora, lecz całego pokolenia jego rówieśników, a więc „wspomnieniowość" jako postawa: oto zasadniczy ton całej książki.



Jan Śpiewak

Ten nawrót do przeżyć dzieciństwa staje się jakgdyby programem. „Tragiczne pokolenie", jak je ktoś nazwał, pokolenie, którego pierwsze lata kształtowały się pod wpływem przeżyć wielkiej wojny, pozbawione „zaplecza" społecznego, zagubione w skomplikowanych warunkach współczesnego życia — lubuje się w poszukiwaniu „utraconego czasu". Jest to jakgdyby rekompensata za stracone dzieciństwo, za nieumiejętność organizowania dzisiejszej rzeczywistości. Pozwala płynąć z biegiem zdarzeń, uważać się za ich wypadkową, zwalając tem odpowiedzialność za niedający się ujarzmić los. Lecz Śpiewak wie o tem i aczkolwiek nieśmiało, próbuje znaleźć jakąś bardziej niezależną, czynną postawę wobec życia.

„Dlatego mijać siebie trzeba. I czekać nie- (spokojnie,
zanim bezwiednie z rzeką nie popłyniesz
gdziebądź..." — pisze.

Na czem polegać ma to mijanie samego siebie, a raczej przeżywanie krok za krokiem wstecz, przesuwanie kojarzeń poetyckich aż do genetycznych, tak istotnych dla poety źródeł? W jednym z najbardziej zasadniczych wierszy, którego tytuł stał się tytułem całego zbiorku, pisze najpierw, jak „zbłąkany i opity tobą (Dnieprem — a więc wspomnieniami „stepowego" dzieciństwa) suwie się po ulicach oślepłej (podkr moje) Warszawy". Wnet jednak po tem wyznaniu niemocy oświadcza:

„Niech kurhany i dom mój przeorzą
(traktory",

a dalej:

„Przyjacielu, nieprawda, nie jesteśmy
(zbłąkani,
wrośliśmy w zieleń łodyg, tak jak błękit
(w wiosnę.
Nie damy podciąć dni swych...
...idziemy nowi w sobie i postokroć cisi
naprzeciw własnych cieni..."

Oto nowy program — tym razem pozytywny. Wyrosły z podłoża, na którem rozpleniły się gęste miałki, z grząskiego gruntu inteligenckiego powojennego wykolejenia, posiada oczywiście widomą cechę słabości: dwoistość. Niemniej jednak cenny jest jako bunt przeciw „jesieni, która była wszystkiem, jeśli nazwać można zgaszoną kipiel oceanem", przeciw „pokrytemu iłem dnu, które budziły żaby", że strawestuję tutaj słowa autora. Dwoistość, o której wspomniałem, to z jednej strony wyraźne akcenty uspołecznienia, z drugiej — ucieczka w „smagłe lato orzechów i wiklin, w półsen stogów, w ciepły oddech wiosny, **zanim** (podkr. moje) dzieci ponownie oczyma głód wykrzyczą w bezzębnych ulicach i na miasto zamarłe w przestrachu niepodkuta wypadnie konnica".

Jakże charakterystyczne jest to łamanie się w sobie w daremnem poszukiwaniu oparcia, ta ucieczka od groźnej rzeczywistości w przyrodę, w krajobraz. Nie jest to bynajmniej sielanka, przyroda u Śpiewaka żyje i cierpi wraz z człowiekiem, ale dni grozy wojennej wstrząsnęły nim tak, że w przyrodzie znajduje on, gdy nie może znaleźć gdzieindziej, spokój, nieledwo elegijne ukojenie.

Przyroda u Śpiewaka żyje, jest w wiecznym ruchu. Wiąże on zjawiska natury w przyczynowy związek działań, gdzie każdy jej przejaw osiąga wyższy stopień ożywienia. To przesunięcie hierarchji zjawisk, gdzie łąka wydaje owoce, obłok się wylęga, a drzewa kroczą, świadcząc o witalistycznej postawie poety, sprawia dziwne wrażenie świeżości wbrew tragicznym akcentom, o których mówiłem poprzednio.

Niema w wierszach Śpiewaka stężenia chwytów poetyckich, są one w ustawicznym ruchu, wymienne; nie stosuje ich Śpiewak, o ile można sądzić, z jakiemś wyraźnem zamierzeniem, tam jednak gdzie są — są użyte celowo, są przekonywające. Owe żywopłoty, które kroczą, drzewa idące i maszerujące sitowie — element ruchu, który nawraca stale w każdym wierszu, owe „zdyszane wyspy", „dłonie trawy" i „krew wyżęta z łodyg", toć to przecie niezłych dowód natręctw obrazowych, ale wyraźna, choć grożąca wpadnięciem w manierę, postawa artystyczna.

Razi w wierszach Śpiewaka zbędne rozgadanie, nieopanowanie formalne, rozlewność obrazów, które gonią się nawzajem. Odnosi się wrażenie, że poeta nurza się w gęstwinie słów i obrazów, nie umiejąc zorganizować ich i zewrzeć w skupioną wewnętrznie całość. Nawet fragmenty poematu, który chwilowo należy traktować jako oddzielne, powiązane z sobą tematycznie i nastrojem wiersze, choć przesycone są patosem lirycznym w dobrym gatunku i odznaczają się dojrzalszą formą, o szerokim, wpadającym niekiedy w tok prozy poetyckiej rytmie — nie są wolne od tego niepokojącego zagęszczenia obrazów. W tym jednak wypadku ta ciężka, nerwowa atmosfera psychiczna, te zawikłane, poplątane pomiędzy sobą odnogami i rozgałęzieniami ljany obrazowania — to już nie nieporadność, lecz — styl. Najbardziej zwarty, wyzwolony z więzów rymu i metru, pełen szlachetnego liryzmu, wiersz, a raczej znów proza poetycka: „W głąb źrenic" stanowi dla Śpiewaka, jak sądzę, wytyczną na przyszłość.

Byłaby to zdawałoby się na pierwszy rzut oka droga t. zw. awangardy, od której Śpiewak przejął sporo chwytów, a więc zagęszczenie metafor, świadomie i celowo stosowaną elipsę i t. d. Ale na tem właściwie — czyli na czysto zewnętrznych „sposobach" poetyckich, sposobach, które obecnie stały się już narzędziami rzemiosła u poetów zasadniczo awangardzie obcych — kończy się ta wspólna droga.

Śpiewak np., stosując dość często t. zw. metaforę rozszerzoną, w odróżnieniu od poetów awangardowych daje za każdym razem klucz do swoich metafor, pozwalając z początku czytelnikowi samodzielnie interpretować wiersz, lecz następnie natychmiast podsuwając mu swój własny sposób jego rozumienia. I dlatego wiersz u Śpiewaka, będąc nadal jak u poetów awangardy zbiorem odpowiednio zestawionych metafor, staje się jednoznaczny, metafora przestaje być celem sama przez się, gdyż zostaje podporządkowana stronie ideowej i uczuciowej wiersza. Jednocześnie nie są te metafory jak u skamandrytów wyłącznie figurami retorycznemi, tu i ówdzie jak rodzynki wsadzonemi dla przyozdobienia wiersza, gdyż biorą one udział w jego życiu organicznem.

To szczęśliwe powiązanie nowych chwytów formalnych z pełnym wyrazu liryzmem stanowi o pewnej odrębności usiłowań poetyckich Śpiewaka, a tem samem pomimo dość licznych niedociągnięć, polegających, jak należałoby sądzić, na niedostatecznem jeszcze zorganizowaniu poetyckiem i zapewne psychicznem — świadczy o niewątpliwej wartości jego debjutu.



Wilhelm Bruchnalski, zasłużony uczony, historyk literatury polskiej, zmarł dnia 6 grudnia 1938 r.

ALIEKSANDR BŁOK

Z „JAMBÓW"

W pożodze lęku, w chłodzie trwogi —
Tak życie minie. Pomnij, miła,
Że się spotkamy z woli Boga
W czas odkupienia — u mogiły.

Wierzę, że nowy wiek nadejdzie
W każdem nieszczęsnem pokoleniu.
Niedarmo je rozsławia wszędzie
Śmiertelnie znieważony genjusz.

I znieważeni jak on wszyscy
Są w sercach swoich, sercach śpiewnych.
Święty miecz wojny wszystkim błyszczy
W nieuniknionych chmurach gniewnych.

Choć dzień daleki — przykazania
Dla młodych mamy jedne: gniewem
Pogarda rośnie i dojrzewa,
A żrałość gniewu — to powstanie.

Zgrywajcie życie niby fanty.
Poetów serca wciąż na straży,
W ich niepokoju — moc się waży:
Podobnie czarne śpią brylanty

Snem niepojętym i nieznanym.
W bezruchu śpią zaczarowanym
W głębokiem łonie gór — do czasu.
Aż śpiew kilofu słyszeć da się.

° ° °

O, jakże żyć szaleńczo chcę!
Uniešmiertelnić — istność rzeczy,
To co bez twarzy — uczłowieczyć.
Marzeniu — ciało dać i krew.

Niech życia sen okrutny gniecie,
Niechaj utracę dech w tym śnie,
Wesoły chłopak kiedyś przecie
W przyszłości może wspomni mnie:

Darujmy mu ponurość — czy to
Ukryty motor jego sił?
Dziecięciem dobra, blasku, świtem,
Tryumfem on wolności był.

FABRYKA

W sąsiednim domu okna żółte.
Tam wieczorami — wieczorami —
Zgrzytają zamyślone furty,
Ludzie zbliżają się do bramy.

Na głucho są zawarte wrota,
A gdzieś pod ścianą — gdzieś pod ścianą
Ktoś nieruchomy, czarny ktoś tam
Przelicza w ciszy zbuntowanych.

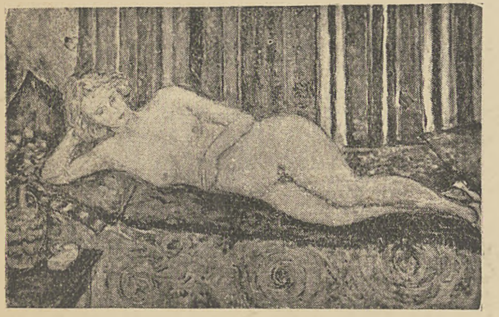
Wiem wszystko, słyszę stąd, z balkonu,
Jak nawołuje głosem grzmiącym,
By ugiął karki utrudzone
Tam wdole tłum wyczekujący.

Wejdą, rozpełzną się za furtą,
Na plecy każdy brzemię zwali.
I śmiać się będą w oknach żółtych,
Że tych nędzarzy oszukali.

przełożył Seweryn Pollak

Wystawa w I. P. S.-ie

Zbiorowa wystawa prac **Tytusa Czyżewskiego** utwierdza nas w przekonaniu, że twóczość znakomitego artysty już dziś zajmuje nawskroś odrębną, samoistną, a zarazem przodującą pozycję w współczesnem malarstwie polskiem. Sztuka Czyżewskiego jest przytem szlachetnym, wyjątkowym na naszym gruncie przykładem nieustępliwej, walczącej, niesłychanie konsekwentnej po-



Tytus Czyżewski: Odaliska

stawy twórczej malarza, nietylko wobec... własnej ideologji malarskiej, ale i wobec naporu nieprzebierającego w środkach, rozwydrzonego kołtuństwa i pompierów. Czyżewski, wywodząc swe malarstwo z zagadnień wyłącznie formalnych, zmierza obecnie do zdecydowanej syntezy: łączy formę z barwą. Formę Czyżewski oznacza nie linearnym konturem, lecz barwą, jakgdyby transponując słowa Cezanne'a, iż „rysunek i ko-



Tytus Czyżewski: Krajobraz z domem

lor nie są czemś różnem, malując rysujemy. Im bardziej kolor harmonizuje się, tem rysunek jest bardziej precyzyjny. kiedy kolor jest u szczytu bogactwa, wtedy forma osiąga pełnię". Czyżewski świadomie deformuje realistyczny „rysunek" i podając go



Eugenja Różańska: Pejzaż

ogólnej, kolorystycznej konstrukcji obrazu, podkreśla w ten sposób ścisłą współzależność barwy i formy, przypominając niekiedy „zdeformowane" portrety El Greca. W przeciwieństwie do impresjonistycznego spłycania i przełamywania bryły światłem — artysta akcentuje materjalną konsystencję przedmiotu, podporządkowując realną rzeczywistość prawom dwuwymiarowej płaszczyzny płótna. Czyżewski wyprowadza formę rzutem pendzla zgodnie z wewnętrzną strukturą bryły i kształtuje przedmiot nie przez samo tylko wypełnianie powierzchni obrazu, ale przez pogłębianie i nasycanie jej mocno zróżniczkowanym kolorem. Jest rzeczą charakterystyczną, że barwa, która dominuje w jego malarstwie i rozstrzyga o niem, przestaje być celem samym w sobie i dzięki swym wzrokowo-emocjonalnym walorom określa nastrojowy „klimat" pejzażu bądź psychofizyczny typ modela. Wizja plastyczna artysty, mimo pewnych sugestyj malarstwa Sutina w portretach o pozornie dynamicznych, skłębionych zarysach kształtu i specyficznej deformacji, jest najzupełniej własna, oryginalna i siłą odkrywczą malarskiego wyrazu przywodzi na myśl wspaniałą, całkowicie zresztą odmienną, równie oryginalną sztukę Tadeusza Makowskiego.

Malarstwo **Jerzego Wolffa** nie wykracza poza impresjonistyczne widzenie świata. Są to obrazy o tłumionej, niezwykle subtelnej, wyrafinowanej, niekiedy wręcz pastelowej gamie barwnej. Artysta posługuje się światłem, jako elementem malarskiej budowy, kontrastując, bądź stopniując każdą plamę barwną niemal do granic abstrakcyjnego „rozpylenia" (Portret). Impresjonistyczna dematerjalizacja bryły posiada jednak u Wolffa swój odrębny malarski sens, wynikający ze świadomej woli analitycznego zgłębienia wibrującej, naświetlonej barwy. Bardziej syntetyczna jest znakomita kompozycja, malowana z pocztówki „Według Goyi", w której Wolff swą ogromną wrażliwość kolorystyczną ujął w karby konstrukcyjnej dyscypliny.

Ciekawie zapowiada się **Eugenja Różańska** w postimpresjonistycznych pejzażach i „Oknach", które świadczą o dużym smaku, poczuciu barwy i kulturze malarskiej artystki.

Eksponaty **Stanisława Zalewskiego** to przykra demonstracja źle zrozumianej ideologji t. zw. „Ecole de Paris".

Kilkadziesiąt okolicznościowych płócień **Rafała Malczewskiego** („Centrany Okręg Przemysłowy. Reportaż malarski, 1938") jest dowodem ostatecznego upadku tego ongi uzdolnionego artysty. Interesującą skądinąd, przemysłową tematykę, ujął Malczewski w formę tak niechlujną i tandetną, że sławny C. O. P. dławi i straszy kakofonicznym koszmarem pocztówkowych kolorków, rywalizując skutecznie smugami surowej, szyldowej farby jedynie z mydlano-kanarkowemi sosami tromtadracko-galanteryjnej produkcji „Bractwa Św. Łukasza" (serja siedmiu obrazów historycznych dla sali honorowej polskiego pawilonu na wystawie w Nowym Jorku).

Leon Strakun



Jerzy Wolff: Aleja w parku w Wiśniowcu

»Biennale« weneckie 1938 r.

Co dwa lata rząd faszystowskich Włoch organizuje międzynarodową wystawę malarstwa, rzeźby, grafiki i przemysłu artystycznego. Brakło w tym roku Z. S. R. R. i Hiszpanji, była natomiast „Hiszpanja" gen. Franco.

Rzecz jasna, że główny akcent wystawy tworzy zawsze reprezentacyjny pawilon Włoch.

Jako plastyk, szukałem na „Biennale" dobrego malarstwa, możliwe bez uprzedzeń, z odrzuceniem wszystkiego, co już tu, w kraju, o współczesnej sztuce włoskiej słyszałem i widziałem (Wystawa Sztuki Włoskiej w I. P. S.-ie w 1934 r. i Wystawa Pejzażu Włoskiego w Muzeum Narodowem w 1937 r.).

Wiedziałem oddawna, że polityka faszyzmu w sprawach plastyki pragnie jej przywrócić pełną proporcję w stosunku do wszystkich dziedzin życia, stworzyć z niej renesansową jakgdyby funkcję życia. A więc 2% kosztorysu każdej budowli społeczno-państwowej ustawowo przeznacza się na włączenie rzeźby i malarstwa, przyczem plastyk ma tyle do powiedzenia co architekt (prawo czynnej krytyki wobec architekta); jest to więc próba syntezy wszystkich sztuk, koncepcja krańcowo przeciwna idei Corbusiera o autonomji formalnej architektury. Że element ideologicznej infiltracji na plastykę jest założeniem takiego programu — to o tem się przekonałem. Dla przykładu: wszyscy plastycy włoscy są zorganizowani w związku zawodowym, bezpośrednio podległym Ministerstwu Kultury Ludowej i partji. W czasie mego dwumiesięcznego pobytu w Wenecji spotykałem często profesora tamtejszej Królewskiej Akademji Sztuk Pięknych, Cadorina, przykładnie, jak wielu jego kolegów, noszącego na klapie marynarki znaczek P. N. F. (Partito Nazionale Fascisto).

Naczelny temat tegorocznej wystawy dla malarstwa monumentalnego, ściennego brzmiał: „Narodziny Wenecji". A oto realizacja w jednym wypadku — wielki fresk na elewacji pawilonu włoskiego: plan pierwszy zamykają z lewej — ogromny św. Marek z kluczami w ręku, z prawej — 2 żołnierze w pełnem uzbrojeniu na tle spalonego pejzażu Etjopji, który sięga po szafirowe laguny Wenecji; na górze — patronuje wytworna pani, opiekunka miasta z potężnemi „fasces" w garści. A forma plastyczna tej efektownej kompozycji? Dość tępa kompilacja wspaniałego fresku włoskiego XV w.: Piera della Francesci, Mantegni i Paolo Ucella, brak głębokiej kultury koloru, w całości charakter pracy pośpiesznej. Ta atmosfera pośpiechu, tymczasowości, surowizny formy i koloru była zastanawiająca w tem mieście wspaniałej tradycji najlepszego malarstwa europejskiego wielu stuleci. Niesmak pierwszego wrażenia pozostał, pomimo że często wracałem, z szczerą troską rzetelnego oglądania i osądu.

Dalsze tematy fresków: „Bohaterowie Etjopji", „Rodzina faszystowska", „Lotnictwo włoskie" i inne. Te same mniejwięcej tematy przeważały w konkursowych rozwiązaniach płaskorzeźb.

I ten charakter wyraziła najzupełniej nudna sala malarstwa z objaśnieniem: Gli Futuristi Italiani — nędzni epigoni interesującego ruchu wielkich futurystów przedwojennych epoki dynamicznych manifestów Marinettiego (jak: Boccioni, Russolo, Carrá, Severini).

Malarstwo stalugowe, z natury swej ograniczone do form bardziej intymnego, kontemplacyjnego odbioru, rozwija się po fragmentach malarstwa francuskiego do r. 1918, pomimo wielkiej propagandy na rzecz „unarodowienia" własnych poczynań. A jednak kontakt wszystkich poważnych artystów włoskich z sztuką Paryża jest nadal bardzo żywy, w słusznem przekonaniu, że przypadkowa granica Alp jest w sprawach kultury bez znaczenia.

Nie był na „Biennale" obecny Giorgio Chirico ani de Pisis, wybitni malarze o własnem obliczu. Był natomiast Gino Severini z dużym obrazem p. t. „Zwierzęta", akcentującym zainteresowania autora dla tradycji mozaiki staro-rzymskiej. Był i Carlo Carrá, wraz z Severinim daleki dziś od patetycznej postawy futuryzmu. Obydwaj tworzyli w gruncie rzeczy trzon wielkiego ruchu międzynarodowego spod znaku „Ecole de Paris".

Bardziej niezależną pozycję, i w swym charakterze ideologicznym i poważnej trosce o gatunek formy, stanowi współczesna rzeźba figuralna Włoch.

Nie zamierzam tu kierować tych samych zastrzeżeń w odniesieniu do obożuchngo oblicza panującej sztuki niemieckiej, podanej w nudnym pawilonie o pseudo-dorydkiej oprawie. Wnioskiem mowy Hitlera z okazji „Wystawy Sztuki Zwyrodniałej" w Monachjum 1935 r. są teraz fotograficzno-naturalistyczne („wie lebendig") wypracowania o bardzo poczciwych zdarzeniach dobrze odżywionych wieśniaków bawarskich, z poprawną lekcją rysunków u Cranacha, Holbeina lub Dürera.

Czemu ten wstyd przed genjalną postacią Franz Marca, ekspresjonisty, malarza najbardziej autentycznego, ofiary Wielkiej Wojny?

Po snobistycznym aż nadto pawilonie Wielkiej Brytanji, po anonimowem naogół obliczu Holandji i Belgji, z dużą satysfakcją przyjąłem w pawilonie Francji 15 błyszczących płócien Renoira. Mocna była zbiorowa wystawa starego postimpresjonisty X. Roussella, a także zmarłego niedawno Dufresne'a.

A Polska? Mimo skromnego wymiaru ukazała się sympatycznie dzięki świetnej wystawie Olgi Boznańskiej i rzetelnej sztuce Wacława Wąsowicza. Obce mi natomiast były wystawione rzeźby J. Szczepkowskiego, wolałem popatrzeć na miłe tkaniny „Ładu" warszawskiego, stanowiące tło dla rzeźby.

„Hiszpanję" reprezentował tępo zmalowany, ponad 2 m. wysokości portret gen. Franco, ustawiony w wejściu w sposób aż nadto demonstracyjny. Wewnątrz, brutalne portrety ongiś tak reklamowanego Zuloagi, malarza „très, très ordinaire", jak mi mówił sam Marino Marini, najwybitniejszy rzeźbiarz dzisiejszych Włoch.

„Biennale" było męczące i po raz drugi uciekłem do pobliskiej Padwy, dla kontemplacji czarujących fresków Giotta i Mantegni. Mimo 630 lat dystansu, znalazłem w elegijnych rytmach cichych korowodów Giotta więcej malarstwa, które wzruszało i więcej człowieczeństwa, które mi było bliższe niż fanatyczny bełkot programowej sztancy faszystowskich fresków i płaskorzeźb.

Na „Biennale" widziałem to co zamierza być sztuką faszyzmu, bo jej realizacji nie znalazłem. Nie wierzę, żeby jakakolwiek sztuka mogła powstać w atmosferze wojny imperjalistycznej i nędzy mas równocześnie. Bo jednak artysta musi mieć dużo wiary, dużo ukochania dla tematu, który powinien być bliski i jemu i temu społeczeństwu, którego jest piewcą. Nie mam zaufania do tych poczynań w dziedzinie sztuki, których inicjatorami są ludzie polityki, prasy, ludzie przypadkowi, zdala stojący od procesu kształtowania plastycznego. Ci ludzie chcieliby być Medyceuszami totalizmu, lecz zapominają, że tamci mieli owe „humaniora" jako kręgosłup etyczny, że mecenas republiki weneckiej XVI w. był częstokroć obok swych zajęć kupieckich jeszcze humanistą z cenzusem uniwersyteckim — „uomo universale".

Spraw sztuki nie określa się naskutek jednego kongresu, jednego oświadczenia „historycznego". To są sprawy zbyt głęboko związane z złożonym nurtem życia społecznego, bardzo bogatego a zawsze ludzkiego. Plastyk, sam człowiek myślący i czujący, ma swoje treści, swą wolę, swą potrzebę tworzenia, która nie zawsze musi podlegać racjonalistycznej dyscyplinie; w tym plastyku jest ponadto i przedewszystkiem dużo elementu życia emocjonalnego, podświadomego nawet, wyrażającego się w mocnym akcie plastycznego działania, w tej absolutnej konieczności kształtowania.

I dlatego tak trudno mu narzucić chomąto programu zmiennej konjunktury politycznej.

Franciszek Bartoszek

„Sygnały" rozszerzają znacznie dział recenzyjny i sprawozdawczy.

Prosimy wydawców i autorów o nadsyłanie nowości możliwie w dwóch egzemplarzach oraz o podawanie nam ich cen księgarskich.

Recenzje będziemy zamieszczali jedynie z wydawnictw, nadesłanych pod adresem redakcji „Sygnałów".

* * *

W poprzednim (59) numerze „Sygnałów" z dnia 15 grudnia 1938 r.: **Michał Kolcow**: Listopad Madrytu. — **Zygmunt Jarosz**: Materjalizm żyje jeszcze. — **Jerzy Wyszomirski**: Charta libertatum animalis. — Dlaczego jestem demokratą? Ankieta „Sygnałów". (Odpowiedzi: **Bolesław Dudziński, Ignacy Fik, Dezydery Szymkiewicz**). — **Franciszek Gil**: Berlińskie piekła. — **K. W. Zawodziński**: Wytyczne polityki katolickiej. — Uchylenie konfiskatv „Sygnałów".— **Stanisław Ryszard Dobrowolski**: Glossy o kulturze narodu.— **Bruno Schulz**: Ojczyzna. — **Lech Piwowar**: Nota do krytyków. — **Adolf Sowiński**: Świat antyczny. — Wiersze Sowińskiego. — **Marceli Handelsman**: W setną rocznicę śmierci Deczyńskiego. — **Leon Strakun**: Rzeźba w X Salonie I. P. S. — **Jerzy Putrament**: Dwie powieści Szemplińskiej. — Oblicze dnia. — Korespondencja(**Karol Adwentowicz, Stanisław Thugutt, gen. Marjusz Zaruski**). — **Jerzy Pański**: Teatry warszawskie. — Rysunki **B. W. Linkego, E. Lipińskiego, Fr. Pareckiego i Z. Wasilewskiego**. — 12 stron. 10 ilustracyj.

NOWE OBLICZE POLSKI

S. Babad. Nowe oblicze Polski. Lwów, Wydawnictwo „Or“, 1939; str. 95 i 1 nl.

Nowe oblicze Polski ukazuje autor na tle przemian, jakie zaszły w naszem życiu politycznem w ostatniem pięcioleciu. Istota tych przemian da się streścić w kilku punktach: 1) „dekompozycja“ obozu pomajowego; 2) wzrost siły i wpływów masowych stronnictw politycznych, którym wróżono już zagładę jakoby nieuniknioną; 3) faszyzacja całego niemal obozu reakcji polskiej, który — pomimo istniejących wciąż różnic organizacyjnych, taktycznych i personalnych — konsoliduje się ideologicznie w sposób coraz widoczniejszy; 4) wzmożenie się nastrojów i tendencyj demokratycznych wśród mas robotniczych, chłopskich i pracowniczych, jako odpowiedź i reakcja na postępujący proces faszyzacji ugrupowań mieszczańskich. Linja podziału, przebiegająca dziś poprzez grupy, warstwy i klasy społeczeństwa polskiego, podkreśla istnienie dwóch przeciwstawnych obozów: jeden — to wyznawcy zasad demokracji, politycznej i społecznej, drugi — to zwolennicy i obrońcy wyradzającego się w faszyzm — kapitalizmu. Są, oczywiście, ugrupowania jakby pośrednie, chwiejne i niezdecydowane, naturalny jednak bieg wypadków żąda od nich coraz głośniej — samookreślenia i zdeklarowania się po jednej z dwóch stron istotnej linji podziałowej. I temu głosowi trzeba będzie uczynić zadość.

Babad — w sposób zwięzły a rzeczowy — dokonywa na kartach swej książki przeglądu wszystkich działających w Polsce stronnictw politycznych, od prawicy do lewicy, poprzez całą szerokość t. zw. wachlarza politycznego. Obok krótkiej historji stronnictwa, znajdujemy tu zwykle zarys jego ewolucji w latach ostatnich, a następnie — charakterystykę ważniejszych punktów programowych w dziedzinach wewnętrzno- i zewnętrzno-politycznej, gospodarczej, społecznej, mniejszościowej i t. d. Stosunek partyj do kwestji żydowskiej omówiony został dość szczegółowo, szerzej niż niektóre inne zagadnienia, z czego jednak nie można robić zarzutu autorowi, skoro „judeocentryzm“ jest dzisiaj niewątpliwie patologicznym objawem działalności i taktyki reakcyjnych stronnictw polskich.

Analizując i zestawiając ideologję i praktykę poszczególnych ugrupowań, Babad z dużą bystrością sądu charakteryzuje też pewne odrębne ich cechy i właściwości wyróżniające. Nie są to, oczywiście, sprawy rewelacyjne i ktokolwiek styka się z życiem politycznem, wie o tem wszystkiem doskonale, — ale takie jednoczesne uszeregowanie rozmaitych „specjalności“ partyjnych oraz wykazanie ich pochodzenia, zależności i związków przyczynowych ułatwia orjentację ogólną, stawia wiele rzeczy na właściwem miejscu i z tych właśnie względów jest bardzo pożyteczne.

Tak np. w rozdziale, poświęconym Obozowi Narodowo - Radykalnemu, odpryskowi endecji, słusznie podkreślił autor demagogję społeczną tych „radykałów“, imperjalizm ich koncepcyj w zakresie polityki zagranicznej i — niedwuznaczne pragnienie przerzucenia mostów „konsolidacji“ w stronę pewnych odłamów obozu pomajowego. W rozdziale, dotyczącym Stronnictwa Ludowego, uwydatnione zostały niekonsekwencje programowe w kwestjach mniejszościowych oraz brak zdecydowania co do wyboru sojuszników politycznych, co jest refleksem ścierających się w łonie ruchu ludowego prądów. Z równą słusznością zaznaczył autor dwutorowość ideologji i praktyki Stronnictwa Pracy, składającego się z żywiołów niejednolitych, odrębnych pochodzeniem i przeszłością polityczną, kierunkiem dążeń i celów, nastawieniem społecznem i gospodarczem.

Przodownictwo w ruchu robotniczym przyznaje autor bezspornie Polskiej Partji Socjalistycznej, stwierdzając, że mimo wielkich trudności, dywersyj i t. p. proletarjat polski zachował jednolitą organizację masową, przeciwstawił się skutecznie próbom „zglajchszaltowania“ organizacyj zawodowych, przetrwał na pozycjach obronnych okres najcięższy, a obecnie (od r. 1935 począwszy) znajduje się w potężnej i zwycięskiej akcji ofensywnej. Stanąwszy mocno na gruncie programu radomskiego, socjalizm polski uznał, że likwidacja ustroju kapitalistycznego i przebudowa gospodarczo-społeczna na zasadach planowości socjalistycznej jest naczelnem i realnem wskazaniem dnia dzisiejszego.

Nie poprzestając na charakterystyce i omówieniu poszczególnych stronnictw politycznych, co byłoby zadaniem wyłącznie informacyjnem, Babad stara się o wyprowadzenie pewnych wniosków ogólnych, o takie ujęcie spraw przedstawionych, które pozwoliłoby dostrzec zarysowujące się jeszcze niepewnie perspektywy przyszłości . Nie chodzi tu, zresztą, o proroctwa i zawodne często przepowiednie na odległą metę, lecz o spokojne i rzeczowe stwierdzenie pewnych zjawisk, umożliwiających zgodne z logiką i poparte doświadczeniem politycznem — wnioskowanie.

Spotykamy się więc z trafnem spostrzeżeniem, że jednym z podstawowych czynników w rozgrywce między demokracją a faszyzmem jest walka o duszę spauperyzowanych warstw pośrednich, które w Polsce stanowią niemal 2/3 ludności. Po czyjej stronie opowiedzą się te warstwy, od tego zależeć będzie zwycięstwo i klęska. Dwie wielkie grupy „pośrednie“ — masy chłopskie i pracownicy umysłowi są już dziś prawie bez reszty w obozie demokracji. Pozostaje do zdobycia grupa trzecia i ostatnia — drobnomieszczaństwo in sensu stricto, t. j. rzemieślnicy, drobni kupcy i t. p., zamieszkali w miastach i stanowiący w masie po dziś dzień klientelę faszyzujących stronnictw reakcyjnych. Gwarancja taktyczna zwycięstwa obozu demokratycznego polega na ścisłem skoordynowaniu organizacyjnych wysiłków dwóch zasadniczych członów tego obozu, t. j. P. P. S. i Stronnictwa Ludowego.

Wielka odpowiedzialność spoczywa zwłaszcza na ludowcach, którzy powinni zerwać z przesadną obawą o „samodzielność“, niczem niezagrożoną, i stanąć we wspólnym szeregu z całą polską lewicą demokratyczną, aby tym sposobem zapewnić i przyśpieszyć decydujące zwycięstwo. Na takie postawienie sprawy zgodzą się, niewątpliwie, wszyscy demokraci, życząc sobie wzajemnie i pracując nad tem, by słowo jak najrychlej ciałem się stało.

Rzeczowo i z umiarem napisana broszura Babada jest nietylko jasnem przedstawieniem faktów, zjawisk i czynników polskiego życia politycznego, ale również rozumowanym komentarzem do tych spraw naszej zbiorowości, które biegiem swym żłobią i określają formy bytu państwowego, decydują o fundamentach ustrojowych, wytyczają linje kierunkowe na przyszłość. I dlatego właśnie praca tu omówiona zasługuje na życzliwą uwagę.

Bolesław Dudziński

SPRAWY SPOŁECZNE

Czyżby poza nawiasem? Sanatorjum Akademickie im. Józefa Piłsudskiego w Zakopanem. Wczoraj i dziś. Zakopane, wydawnictwo Grona Kuracjuszy Sanatorjum Akademickiego, 1938; str. 173 i 9 nl.

Co trzeci dzień jeden akademik umiera na gruźlicę, co czwarty chory wymaga leczenia. Gruźlicą czynną dotkniętych jest u nas rocznie 560.000—785.000 osób, w tem 112.000 otwartą, 20% zmarłych stanowią gruźlicy. Spośród 19.069 nowowstępujących na wyższe uczelnie lwowskie w okresie 1930—1935, 27.5% mężczyzn i 28.5% kobiet ujawniło czynną lub zasklepioną gruźlicę; w Krakowie na ok. 7.000 słuchaczy leczy się na gruźlicę 8.57%; Centralna Poradnia Akademicka w Warszawie miała w krótkim czasie w leczeniu 700 studentów-gruźlików. Do każdego studenta państwo dokłada ok. 15.000 zł., nie licząc studjów średnich i niższych. W stosunku do 10% młodzieży akademickiej suma ta jest częściowo lub zupełnie zmarnowana. Gruźlica przynosi straty nietylko w finansowym potencjale społeczeństwa — wielekroć ważniejsze są straty umysłowe i fizyczne. Jest klątwą groźniejszą od innych, bo działającą z ukrycia i cicho załatwiającą swe porachunki; zobojętnieliśmy, niestety, na tę rzadko ostentacyjną śmierć, bo coraz częściej jesteśmy świadkami śmierci gwałtownej, masowego mordu.

Estetycznie wydana, bogata w interesujące ryciny, publikacja „Czyżby poza nawiasem?“ woła jak echo spoza niedomkniętej trumny o wielkiem opuszczeniu walki z gruźlicą, zaniedbaniu profilaktyki społecznej, ilustruje pełne szlachetnej ofiarności kilku osób dzieje tworzenia i budowy nowego gmachu Akademickiego Sanatorjum Przeciwgruźliczego w Zakopanem, codzienne trudności tej instytucji o niedocenionem przez ogół znaczeniu, gdzie leczyli się prof. Bartel, gen. Litwinowicz, Adolf Nowaczyński, a skąd co roku ok. 300 uratowanych wraca do normalnych zajęć. Część literacka — zredagowana przez gruźlików — działa jak daleki ale sugestywny pogłos „czarodziejskich gór“ Manna czy opisów Pastorelli o ludziach, których słupek rtęci nie odciął jeszcze ostatecznie od życia.

Roman Koseła. Sandomierskie strony. Warszawa, „Rój“, 1939; str. 216 i 8 nl.

Zapach razowca i cierpka woń gleby tchną z książki Koseły, obojętne na której stronie otwartej. Z dotychczasowych publikacyj o C. O. P.-ie opowiadania o „sandomierskich stronach“ są najbardziej bezpośredniem sięgnięciem w chłopskie zanadrze ziem okręgu, swoiście przeprowadzoną archeologją etniczną i obyczajową podsandomierskich osad, w czem autor zbliża się do prof. Bystronia. Swojski wiew prawieku i religijnej tradycji narodu jest szczególnym akordem pierwszych rozdziałów poświęconych Sandomierzowi, miastu nieprzepartego uroku staroświeckiej pocztówki z Bretanji — po reportażach pełnych gruntującego w głębi chłopskiej duszy cierpliwego realizmu, świadomego, że równie trudno zmienić coś w Furmanach, Dwikozach czy Rzeczycy jak bieg Wisły, przychodzi głośniejszy podźwięk o zabarwieniu społecznem — Krzyż na Baterjach w piasczystym Połańcu. Stoi próchniejący na wzgórzu usypanem wdzięcznemi Kościuszce rękoma chłopskiemi — „jedyny może świadek troski o dolę tutejszego chłopa“. Bo też cierpliwe, rozgrzeszające opowiadania Koseły gromadzą wiele problemów, administracyjnych, gospodarczych, społecznych i kulturalnych przyczynków owego wielkiego zapomnienia ziemi tak żyznej w życie niemal do czasów rozbiorów; zapomnienie to przemyca się nawet dziś w rozgwarze inwestycyjnej prosperity; dziw bierze jak autor opisując klęskę gradową i powodzi 1934 r., pod którą zgniły nietylko zasiewy ale i sady, piasczystą nędzę ziemi, na której nic się nie chce rodzić, mógł utrzymać spokojny a twardy ton narracji, daleki od biadolenia i wtedy, gdy wagony ze zbożem dla powodzian powędrowały w okolicę zupełnie powodzią nie dotkniętą.

Świeżość Koseły jest prawie wprost proporcjonalna do jego trudności w paraniu się z materjałem, zewszechmiar obfitym, obejmującym zarówno pozbawione moralności i etyki potatarskie osiedla jak i wsie ofiarnie utrzymujące własną straż ogniową, latami zarabiające na kupno węża do sikawki. Nużącą chwilami rozlewność języka wynagradzają ciekawe, soczyste wznowienia wyrazów zapomnianych lub uśmiercanych przez szkołę powszechną, nieszczególne „bliżdżenie“ i „rozbrzyzgi“ świtu trochę za często bliżdżące.

Marja Kuncewiczowa. Miasto Heroda. Notatki palestyńskie. Warszawa, „Rój“, 1939; str. 198 i 10 nl.

Za miękki i za gładki, bardzo delikatny wobec czasu przeciągającego ulicami jest ten reportaż. Brakuje grozy problemu Izraela pędzonego zewsząd z kosturem wędrownym, wyklinanego za swe pochodzenie. Czytelnik ogląda się razporaz za resztą dekoracyj — europejskich, nie egzotycznych — któremi tu zapomniano podkreślić scenę. Kuncewiczowa stworzyła atmosferę nieomal biblijną, wydobyła antyczne uroki ziemi obiecanej, któremi owiany jest nawrót żydów ku zagubionej w pradziejach młodości. Właściwa autorce inwencja psychologiczna, przemożnie ciążąca nad „notatkami“, odkrywa co krok i podkreśla przemiany wewnętrzne żydostwa wracającego do Palestyny, do ziemi Heroda — mimo dwóch tysiącleci nadal przeciwnej Zbawieniu. W tej zdobywanej i bronionej przez nowoczesnych Machabeuszów ojczyźnie ciężko trwać starym żydom zrodzonym i wrosłym w inne ziemie. Przyjeżdża się tu, by zapomnieć języków, któremi się dotychczas mówiło, w nowym języku, w dojeniu krów, w budowie dróg, szoferce i walkach z Arabami pożywać chleb powszedni własnej ojczyzny obcej tamtej, która dała magisterjum, nawet doktorat nauk filozoficznych. I egzotyczna barwa reportażu — Hajfa, Jeruzalem, góra Skopus, Karmel i mityczna aura Akropolu i aspekty religijne zwiedzania ziemi świętej chrześcijan — osadzone są w łożysku psychologji, skojarzeń biblijno-antycznych. Kuncewiczowa nie jest malarką, którą urzekłaby soczystość i wielorakość kolorów: obrazy stwarzane przez autorkę żyją raczej treścią, służą do rozległych rozprowadzeń psychologicznych.

„Notatki palestyńskie“ zdradzają mistrzowską rękę we wszechstronnych podpatrzeniach duszy kraju, w kondensacji, zwięzłości i jasności opisu. Szerszego znaczenia pozbawia je jednak nieobecność twardszych dzisiejszych perspektyw sprawy palestyńskiej, prawie statyczne potraktowanie permanentnych walk nad Jordanem, zmajoryzowanie męskich, surowych rysów odrodzenia żydowskiego na polach Erec przez uczuciowość i drobnostkowe zgłębienia psychologiczne.

Franciszek Gil



— Ciekawe, że wy malarze musicie tak pić malując.
— Wie pan, obraz wtedy bardziej się podoba — w każdym razie mnie.

rys. Juljusz Krajewski

Redakcja i administracja: Lwów, Hauke Bosaka 12, telefon 244-78, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godziny 17 do 19. — Prenumerata w kraju: kwartalna 2 zł., półroczna 4 zł., roczna 7 zł.; zagranicą: kwartalna 3 zł. 50 gr., półroczna 6 zł. 50 gr., roczna 12 zł. — Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości jednej szpalty 80 gr. — Konto w P. K. O. nr. 503.400. Pocztowe konto rozrachunkowe nr. 1.

Wydawca i redaktor: KAROL KURYLUK — **Z drukarni „POLIGRAFJA“, Lwów, Lindego 6**